

31 – 13 LISTOPADA 2022 | NUMER 117

BEZBIEK

bezcenna dawka fanfików



UWAGA!

**MOŻLIWE PĘKANIE ZE ŚMIECHU, ZRYWANIE BOKÓW ORAZ
W JEDNYM PRZYPADKU PŁAKUWA,
CZYTASZ NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ***

*MAGAZYN BEZBEK NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA SZKODY ZDROWOTNE CZYTELNIKÓW.

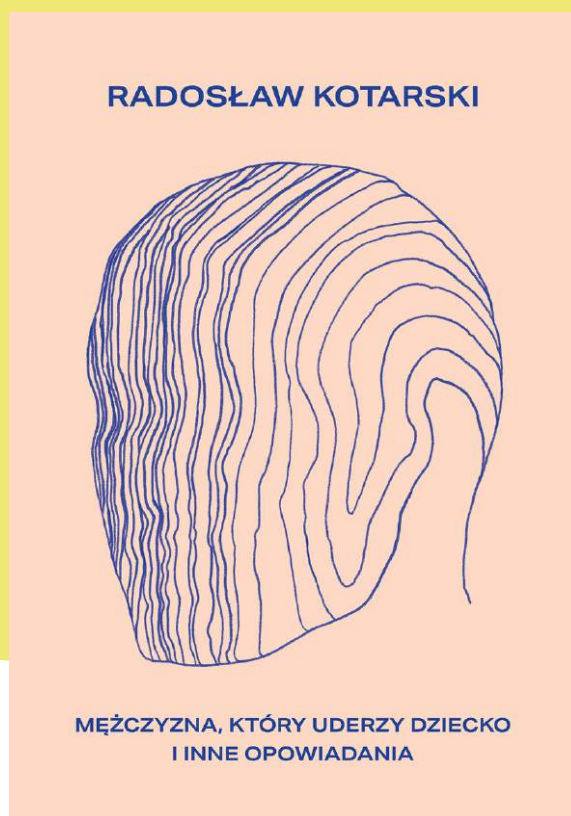
**KAPITAN MACZEK
STR. 10**



**MEŹCZYŻNA,
KTÓRY UDERZY DZIECKO
STR. 32**



**KOMIKS
STR. 18**



W TYM NUMERZE:

- 6** **NADROBILEM**
„WALL-E” (2008)
- 8** **POLIESTER JEST WELNĄ**
RAPORT UOKIK-U
- 9** **BEZBEKOLOGIA**
CZYLI REDAKTORKA NAUKOWA O BAKTERIACH
- 10** **KAPITAN MACZEK**
- 14** **TĘCZOWA SAGA:**
THE ORANGE COUNTY
- 17** **TEORIE SPISKOWE JAKO *FAN FICTION***
DO DYSKUSJI SŁÓW KILKA
- 18** **KOMIKS**
- 20** **NIE WTRĄCAJ SIĘ**
W NIE SWOJE SPRAWY...
- 24** **DO TRAMWAJU**
TRZEBA CZWORGA
- 28** **W MROŻNYCH**
OBJĘCIACH MIŁOŚCI
- 32** **MĘŻCZYZNA,**
KTÓRY UDERZY DZIECKO
- 35** **BEZBEK POLECA**
GANG ZIELONEJ RĘKAWICZKI
- 37** **BEZBEKOWY**
HOROSKOP
- 36** **WASZE**
FUNARTY
- 38** **SUBIEKTYWNY TYGODNIOWY**
RANKING MEMÓW
- 40** **BYĆ MOŻE**
ZA TYDZIEŃ

DO BEZBEKOWICZÓW!

Urszula Skorodziło

Drodzy Czytelnicy,

zazwyczaj nie czytam fanfików.

Wywodzi się to z prostej przyczyny. Uważam, że w gruncie rzeczy życie innych osób bywa na co dzień równie nudne i monotonne, więc nie ma zbyt wiele do powiedzenia w tym temacie. W dodatku nie lubię się złościć, kiedy jakaś osoba robi coś, co moim zdaniem całkowicie nie pasuje do jej charakteru i osobowości. Chyba nie ma bardziej denerwującej rzeczy w czasie lektury niż postać, która robi coś wbrew wszystkiemu, co o niej wiemy.

Niemniej jednak jesteśmy fanowskim projektem, a to nasze małe uniwersum rozrosło się o nowe postaci czy relacje między nimi. Tak. Tak. Wyobraźnia co poniektórych niezwykle ponosi i przywołuje intrygujące *shipy*, które również pojawiały się i w tym magazynie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zaprosić Was do czytania. Kto wie, może zrobi się gorąco...

Milego,
Ula



NADROBILEM

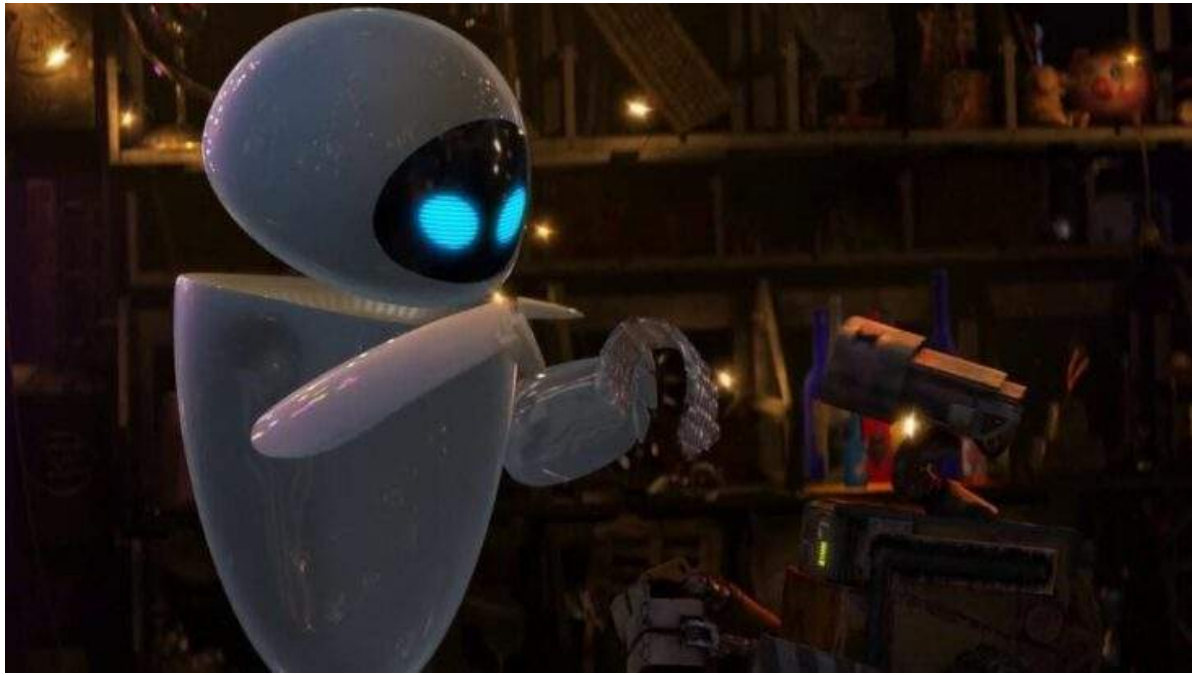
„WALL-E” (2008)

Tekst dedykuję moim koleżankom i kolegom z redakcji, którzy w końcu namówili mnie na seans (pozdrawiam Lenę!).

Kto z nas nie ma swojej kupki wstydu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Ja również samego siebie nie mógłbym obrzucić kawałkiem skały, bo i na mojej liście „do obejrzenia” wciąż figuruje wiele filmów – zarówno klasyków, jak i nowych, szeroko polecanych produkcji. Niestety animacje Pixara nie były tu wyjątkiem – do niedawna były tam jeszcze trzy obrazy: dwa mniejsze, słabiej rozpoznawalne *Dobry dinozaur* i *Auta 3*. Na moje nieszczęście był tam ciągle jeszcze jeden: najgłośniejszy, najbardziej chwalony i polecany film: *WALL-E* z 2008 roku. Jakoś tak się działo, że zawsze mi umykał, nigdy nie było ochoty, by go nadrobić, ale, koniec końców, przyszła pora i na niego.

Zasiadłem więc przed Disney+, obejrzałem i... No co Wam będę mówić, jest to dobry film – ba – nawet bardzo dobry! Intrygująca wizja zanieczyszczonej śmieciami Ziemi przywodziła mi na myśl te wszystkie zrujnowane miejscówki, które zwiedzałem w *Falloucie 3*. Czarnym charakterem obowiązkowo musiało być robotyczne czerwone oko, przypominające zaginionego syna GLADOS z pierwszego i drugiego *Portala* oraz HALa-9000 z *Odysei Kosmicznej* Stanleya Kubricka. Dryfująca w kosmosie stacja kosmiczna z otyłymi, leniwymi ludźmi to z kolei jawna krytyka konsumpcjonizmu i przekaz mówiący „dbajcie o tę planetę, bo ją stracie, a i na siłownię byście czasem poszli”. Głównymi postaciami są z kolei małomówne, lecz nader sympatyczne, roboty, między którymi rodzi się jakże niewinne uczucie.

Choć cały film broni się spójnością, dobrym kreowaniem świata przedstawionego oraz wartką narracją, najlepszą jego częścią, w mojej opinii, jest cały pierwszy akt. Nie pada w nim zbyt wiele słów, zaś charakter głównych robocików budowany jest poprzez ukazanie ich dziecięcej ciekawości wobec wytworów ludzkiej myśli twórczej (z obowiązkową sceną cieszenia się „rozpykiwaniem” folii bąbelkowej), subtelne zachowania, próbujące naśladować to, co widzą oraz poprzez ich wzajemne interakcje.



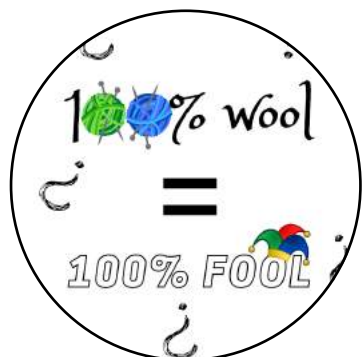
Od strony oprawy wizualnej trzyma się to nadal świetnie. Co prawda, nie tak wyśmienicie jak w kolejnych filmach Pixara, ale wciąż projekty statku kosmicznego i całego systemu obsługiwane przez roboty robią wrażenie i współtworzą interesującą wizję przyszłości, w której ludzkość od 700 lat cieszy się nicnierobieniem w olbrzymiej stacji kosmicznej. Obserwowanie opastych i rozleniwionych ludzi, których dopiero małe robociki nauczyć muszą jak na nowo odzyskać pełne człowieczeństwo, jest, z jednej strony, ciekawe, z drugiej – lekko przerażające. Jasne, wizja ta jest mocno przerysowana, ale w tym pesymistycznym rozwoju ludzkiego losu tkwi jednak nadzieja na powrót do dawnej świetności.

Co mnie jednak zaskoczyło, to to, że ani razu się na nim nie wzruszyłem. W kilku momentach powieki mi delikatnie drżały, ale, o dziwo, nie było takiej płakówki jak przy wielu innych filmach (a trzeba przyznać, że dość emocjonalny ze mnie gość). Mimo moich najszczerzych chęci, jest to jedna z nielicznych produkcji od Pixara, która nie wycisnęła ze mnie łez. Hmm... No dziwne to!

Niemniej, choć zabrakło mi łez, nie mogę źle powiedzieć o filmie *WALL-E*. To bardzo dobrze przemyślana, ciekawa historia z sympatycznymi bohaterami na pierwszym planie i ważnym przestaniem w tle. Znajdzie się tu sporo delikatnego humoru, poruszających momentów oraz ładnie wykreowanych scen. W mojej opinii, to na pewno jeden z najlepszych filmów Pixara. Nie kupił mnie tak, jak *Co w duszy gra*, *W głowie się nie mieści*, *Coco* czy *To nie wypanda*, ale zdecydowanie wybija się ponad dobre, przyjemne, ale dość poprawne produkcje, jak choćby *Merida*, *Luca* czy *Buzz Astral*.

M. Matłok

POLIESTER JEST WELNĄ



RAPORT UOKIK-U

Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów od ponad roku prowadzi cykl o nazwie „UOKiK testuje”, w ramach którego analizuje zgodność deklarowanego przez producenta składu produktu ze stanem faktycznym. Tym razem padło na garnitury, marynarki, spodnie oraz koszule.

Łącznie sprawdzono 776 partii produktów włókienniczych. Okazało się, że aż 167 z nich było niepoprawnie oznakowanych, bowiem w:

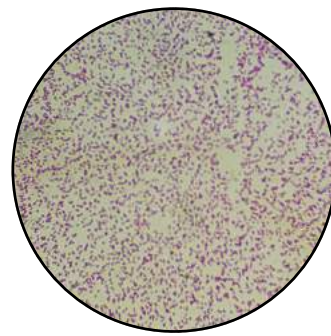
- 125 partiach włókna wymienione w składzie surowcowym zostały nazwane niezgodnie z przepisami,
- 5 partiach nie było informacji o składzie surowcowym,
- 39 partiach występowały inne nieprawidłowości, m.in. podano niepełny skład surowcowy produktu.

Laboratoryjnie sprawdzono 100 partii produktów włókienniczych i zakwestionowano 37 z nich, np. „w garniturze męskim model DAWID k.366 wyprodukowanym przez ZPHU EWTEX, zadeklarowano skład surowcowy tkaniny: 60% wełna, 25% wiskoza, 15% poliester, a badania laboratoryjne wykazały skład tkaniny: 60,2% poliester i 39,8% wiskoza” (cytat z raportu).

Niestety, kupując produkty wełniane (zwłaszcza, jeśli mają one podejrzanie niską cenę), należy mieć z tyłu głowy, że producent może nas oszukać. Można też zrobić test ognia, czyli wyjąć nitkę i podpalić ją, aby zobaczyć, jak się pali. Lepiej oczywiście zrobić go w domu niż w sklepie.

Cały raport znajdziesz [TUTAJ](#), natomiast wykaz zakwestionowanych produktów jest [TU](#).

Sebastian Czapliński



BEZBEKOLOGIA

CZYLI REDAKTORKA NAUKOWA O BAKTERIACH

Najpewniej spóźniłam się na wydanie halloweenowe, ale tak to jest, jak podróżuje się między wymiarami i do tego robi się pracę inżynierską. Przydałby mi się czasozmieniacz z *Harry'ego Pottera*, ale dziś nie o tym. Porozmawiajmy dziś o tym, czy bakterie mogą być straszne. Jak może wiecie, bakterie nas otaczają i o ile nie pracujecie w odpowiednich warunkach, to ich się nie pozbędziecie. Zapytacie może teraz, czy w takim razie są one niebezpieczne. Otóż większość z nich nie. Jakby tak było, to już dawno byśmy nie żyli, a przecież nasz proces trawienia też zależy od bakterii.

Zacznijmy od bakterii, które raczej straszne nie są, czyli od tych wykorzystywanych w ramach przemysłu i produkcji żywności. Bo takie bakterie, nie mogą nam szkodzić i wszystko, co wyprodukują, tak samo jak one same nie mogą być dla nas niebezpieczne. Jest od tego nawet specjalny status, czyli GRAS (*generally regarded as safe* – generalnie uznane za bezpieczne). Do tych bakterii zaliczają się np. bakterie mlekowe, które znajdziemy w jogurcie, propionowe odpowiedzialne za charakterystyczny smak sera czy octowe produkujące ocet (zresztą z nimi nawet pracowałam). Praca z takimi bakteriami jest prosta, nie wymaga specjalnego zabezpieczenia. Zresztą, czy wyobrażacie sobie jedzenie jogurtu w specjalnym stroju?

Drugie w kolejności będą bakterie, które w odpowiednich warunkach mogą być straszne, ale zazwyczaj nie są straszne, lub powodują typowe zatrucia. Ostatnio czytałam o posocznicach, czyli o chorobach, które zakażają krew i mogą powodować zakażenia narządów i w ostateczności skończyć się tragicznie. Choroby te wywołane były przez bakterie *Salmonella*, które zazwyczaj powodują zatrucia pokarmowe. Niestety tu było inaczej, bo chorzy byli w złym stanie. Opisany był przypadek chłopca, będącego po operacji na otwartym sercu. Takie operacje są dużym wyzwaniem dla organizmu, więc osłabiają też odporność. Dlatego bakterie, którymi zakaził się

od rodzeństwa, nie wywołały typowej biegunki, tylko poważną chorobę. Zresztą to idealny materiał na film U!NB. Dawid, pomyśl o tym.

Na koniec zostawiłam bakterie, które są jednoznacznie niebezpieczne, zakażenie nimi może skończyć się tragicznie. Prawdopodobnie słyszeliście o laseczce jadu kielbasianego czy laseczce tężca, są to bakterie z jednego rodzaju i ich produkty nas zatrują. Wytworem tej pierwszej jest, jak sama nazwa wskazuje, jad kielbasiany, który jest najsilniejszą trucizną na świecie. Możemy się zaintoksykować (taka jest poprawna nazwa na zatrucie toksyną produkowaną przez bakterię) przez zjedzenie konserwy mięsnej w której rozwinęły się bakterie laseczki jadu kielbasianego, dlatego nie jemy konserw z wypukłym wieczkiem. A laseczkę tężca znajdziemy w ziemi, gdzie są specjalne formy tej bakterii, dzięki którym mogą tak wytrwać kilka ładnych lat. A mogą nam zainfekować ranę i w naszym organizmie przebudzą się i zaczną wytwarzać toksynę tężcową, a to w ostateczności, jeśli nie będziemy zaszczepieni na tężec, to skończy się źle.

Dobrze, moje drogie bezbeki, kończę już opowiadać te straszne historie. Jak widzicie, świat jest pełen szarości i bakterie też mogą być straszne, a podobno jak czegoś nie widać, to to nie istnieje. Więc podsumujmy dzisiejszą lekcję od redaktorki naukowej. Istnieją straszne bakterie, ale mamy szczęście że większość z nich nie jest groźna dla nas, a możemy zawsze starać się minimalizować ryzyko zakażenia/zatrucia tymi *złymi*, ale proszę nie popadajcie w sterylną paranoję, bo to jest jeszcze gorsze.

Czas na mnie, muszę znów zniknąć w labie, bo mi drożdże wariują.

Redaktorka Naukowa

KAPITAN MACZEK

Papiery walały się po mojej, i tak w miarę uporządkowanej, pracowni. Czas włókł się jak stażysta przy kuchence, a liczby już od wielu godzin zlewały mi się w całość. Odcinki LS-a nagrane, ale jeszcze wiele brakuje do stanu „zero potrzeb”. Och, niech coś się wreszcie stanie! Telefon od Radka z zaległymi oskarżeniami o kolejną plamę. Nuda i przemęczenie ogarniały mnie bez reszty, nie pozwalając nawet wyjść na krótką przerwę poza stanowisko pracy.

Nagły szloch dobił do moich uszu. Cichy, dziecięcy. Mój niezawodny instynkt zaczął działać – nareszcie! Z prędkością podajnika nalewającego colę, oderwałem się od biurka, wykonując jeszcze szybszy obrót wokół własnej osi. Sprawy księgowo muszą poczekać, przerwę jeszcze zdążę zrobić, a płatności wpisać na rachunek bieżący. W tym momencie wszystkie „ważne” sprawy ustępowały tym najbardziej istotnym.

Byłem gotów. Z hukiem domu wbijającego się w gruzińskie auto wyskoczyłem przez okno i poszybowałem w stronę, z której dochodził płacz – płacz dla zwykłych ludzi niesłyszalny z tej odległości. Szloch 9-letniej dziewczynki, skrzywdzonej przez niesprawiedliwy los.

Gnałem przez powietrze, łamiąc wszelkie prawa fizyki oraz siły, odkryte przez naukę, którą jedynie dobry Bóg zna jako własne dzieło. Wytężyłem wzrok, by dojrzeć biedną dziecinę, której pomoc mogła jedynie istota o moich zdolnościach. Siedziała na placu zabaw, niedaleko wielkiej restauracji. Wokół niej na ławeczkach przy piaskownicach i karuzelach siedziały inne dzieciaki, pałaszując pyszne, ciepłe bułki ze smażoną wołowiną i przegryzając je frytkami. *Och, kruszyno! Pomoc już jest w drodze!*

Nagłe szarpnięcie w samym centrum mojego mózgu. Instynktownie wczułem się w owo pulsowanie, które było mi znane przecież tak dobrze – oto zbliżało się coś większego, poważniejszego. Rozglądałem się za tym, jednocześnie przyspieszając lotu, a gdy to wreszcie ujrzałem, moje serce przeszło ukłucie chłodu, uderzenie porównywalne jedynie z ukłuciem zimnej coli na wrażliwych zębach.

— Czemu płaczesz, dziewczynko-ko-ko-ko? — usłyszał, a głos nieznamym osoby, zagadującej właśnie do nieszczęsnej ofiary, był chryпки i „gdakliwy”.

— Chciałam sobie zamówić zestaw McNuggets — wychlipała. — Ale kupon zniżkowy już nie obowiązuje! Och, a ja tak bardzo bym chciała...To moje urodziny!

— Nie bój się skarbenko-ko-ko-ko! — powiedział obcy swym pocieszającym, lecz w gruncie rzeczy parszywym tonem. — Po co ci jakieś nuggetsy, gdy możesz mieć świeżego, chrupkiego ku-ku-ku-kurczaka!

Gdy już miał wyjąć zza czarnego fartucha kubełek, ziemia zatrzęsa się od twardego lądowania.

— Ani mi się waź, kwoko jedna! — zakrzyknął stanowczo. Diabeł w czarnym fartuchu obrócił się i ujrzał postawnego mężczyznę w jasnoczerwonym stroju. Jego wielka litera „M” na klatce piersiowej, tak jak jego pas oraz wysokie buty, jarzyła się złotym blaskiem. Czarne, burzowe włosy powiewały dostojnie szarpane wiatrem nadziei.

— Nie słyszałeś, co powiedziała dziewczynka? — rzucił krótko. — Ona chce nuggetsy, nie te kubełkowe śmieci!

— Te, ciepły, a kim ty jesteś? Co to za włosy, fryzjera się nie widziało?! — wycharczał tamten.

Twarz dziewczynki rozpogodziła się nagle uśmiechem pełnym optymizmu, a wraz z jej słowami wszyscy zwrócili spojrzenia na nowego przybysza.

— To...to Kapitan Maczek! — wykrzyczała w radości, a w serce niegodziwca wjechała trwoga.

— O, ku-ku-ku-ku-kurza twarz! Nie...Przecież ty nie istniejesz!

— Czyżby, ko-ko-ko-kolego? — Kapitan sparodiował swego przeciwnika, po czym wysunął dłoń, w której zmaterializował się burger tak idealny, świeży i soczysty, że wszystkim wokół na jego widok pociekła ślinka. — Powtarzam po raz ostatni: daj jej spokój!

Nikczemnik zdawał się z wolna odzyskiwać kontrolę nad sobą, choć strach nadal był w nim silny.

— NIGDY! — wykrzyczał, a jego głos rozbrzmiał echem niczym w ministerstwie sprawiedliwości. — Nie tylko-ko-ko ty tak potrafisz! — rzucił, po czym w ułamku sekundy w obu dłoniach dzierzył już dwa większe skrzydełka kurczaka.

— Zaczne sztuczki. — Kapitan uśmiechnął się. — Ale moja moc jest tu większa — wskazał na wielkie złote logo nad neonową nazwą restauracji. Idealny burger, ku nieszczęsnym minom wszystkich gapiów, błyskawicznie zdematerializował się. Maczek zacisnął pięści, pozostawiając tylko palce wskazujące, którymi zaczął przed sobą wyznaczać jakieś punkty, które robiły się coraz większe i większe.

— Mam do ciebie jedno pytanie — rzucił. — Łączyłeś kiedyś kropki w bładym skwarze słońca?

W jednej chwili każdy z powiększających się punkcików przemienił się w BigMaca. Setki burgerów lewitowały teraz w powietrzu, a wokół placu zbierało się coraz więcej ludzi głodnych dobrego widowiska i nie tylko. Jednym pchnięciem ręki burgery poleciały w stronę kurczakowego diabła, który okazał się trudniejszym rywalem, niż wszyscy zakładali. Z szybkością przemijania odcinków podcastu Lekko Stronniczy rywal odbijał burgery swoimi żylastymi „pałkami”, które wszyscy gapie próbowali łapać w locie.

— Nieźle. Moja ko-ko-kolej — rzekł, nieco zmęczony nietętym zadaniem, po czym zaczął ciskać w Kapitana udkami z kurczaka, które co chwila przywoływał do rąk. Maczek jednak przewidział ten ruch, materializując w prawej ręce wielką tarczę, złożoną z trzech łuków, które łączyły się w literkę „M”. Pociski rozbiły się o osłonę, Kapitan odbijał je mężnie, lecz przy każdym uderzeniu czuł ich kaloryczny ciężar. Po kilku minutach gruby ostrzał skończył się. Kwokliwy agresor pochylił się, położył ręce na kolanach. Pot oblewał go całego, z trudem łapał oddech.

— To już koniec — usłyszał.

— Ko-ko-koniec? Nie, dopóki jeszcze...

Nie zdążył dokończyć, gdy wielka fala czarnego, dietetycznego płynu odrzuciła go na plecy, a kostki lodu wielkości piłki pingpongowej uderzały go raz za razem. Po otrzymaniu kilku ciosów wyciągnął wielką kartę menu, którą próbował osłonić się przed dalszymi obrażeniami.

— Człowieku, czy tobie brakuje nici profesjonalizmu? — Kapitan Maczek był coraz bardziej znużony walką. — Nie wygrasz ze mną, przecież wiesz!

— NIE! — wychrypiął wrzaskliwie. — Nie mogę stracić ko-ko-kolejnego klienta! ON mnie znajdzie! Sko-ko-ko-kończę na roźnie!

— ON, czyli kto? — wykrzyczał tym samym tonem Kapitan.

W tej samej chwili niebo pociemniało pod naporem szybko przesuających się ciemnych, małych chmur. Nie, zdał sobie sprawę Kapitan, to nie są chmury.

Powietrzne bataliony kur zaczęły pikować z zaciętością godną Messerschmittów w pamiętne lato '40. Nadlatywały coraz szybciej, a ludzie z przerażeniem uciekali we wszystkie strony, wrzeszcząc w popłochu. Kapitan zdążył wytworzyć wokół siebie osłonę w postaci pudeczka po sosie czosnkowym, nim kwoki uderzyły w nią z całym impetem.



Anna Jankowiak

Przez chwilę nie widział co się dzieje, starając się skumulować w sobie moc. Nim osiągnął jej pełnię, usłyszał jedynie:

— Maczek, ty ku-ku-kur.... — Na tym przekaz się urwał, a okolicę zalał złoty blask, który rozproszył wszystkie latające kurczaki. Znów nastał spokój. Cisza. I już nic więcej.

Obudził się na jednej z ławek, ktoś przytrzymał jego głowę, a ktoś inny podawał przez słomkę zimną Fantę 0,5 l. Dobrą chwilę zajęło mu zorientowanie się w sytuacji. Tajemniczy agresor zniknął bez śladu, wszędzie wałały się kurze pióra, gdzieś leżały skorupki rozbitych jajek. Gdy odzyskał przytomność na tyle, by się poruszać, wstał.

— Dziękuję wam, dobrzy ludzie. Dziś doszłoby tu do okropnej, niewybaczalnej zbrodni! — rzekł do tłumu, spoglądając po zebranych dzieciach. — Gdyby nie okoliczności sprzyjające, zapewne skończyłoby się to inaczej. Świątujmy jednak! — wypatrzył w tłumie dziewczynkę, której szlochanie usłyszał w swoim biurze. Podszedł do niej, przyklęknął i jednym ruchem zmaterializował tacę z zestawem: duże frytki, duża, schłodzona, ale pozbawiona kostek lodu cola oraz opakowanie z dwunastoma nuggetsami.

— Wszystkiego najlepszego!

Dziewczynka natychmiast znów zalała się łzami, lecz tym razem były to łzy pełne szczęścia, radości i spełnienia.

— Dziękuję, Kapitanie! — powiedziała, a każdy z gapiów pokazał rękoma literkę „M”.

— Smacznego! — Kapitan uśmiechnął się. — I pamiętajcie: dnia każdego, czy to rankiem czy wieczorem...

— Na wizytę w Maczku zawsze znajdziesz porę! — wykrzyknęli radośnie pozostali. Bohater skinął głową i wzbił się w niebo, wracając do biura i uśmiechając się od ucha do ucha.

Ciemny gabinet rozświetlały swym blaskiem tysiące małych ekraników. Starszy jegomość, ubrany w białą marynarkę i małą czarną krawatę, zagryzł udko kurczaka, które trzymał w prawej ręce. Uważnie obserwował wydarzenia ukazywane przez środkowy, największy monitor kineskopowy. Drugą ręką pogłodził swoją kozią, równo przyciętą, bródkę i zmarszczył nos. Nerwowo skubał kurczaka, aż zostały jedynie niejadalne resztki, które odłożył do pustego kubeczka. Czerwony telefon koło jego prawicy zagadkał. Mężczyzna podniósł słuchawkę po wytarciu rąk z tłuszczu.

— Tak, właśnie widzę. Zwołaj pozostałych. Ten facet drażnił nas już zbyt długo. Czas podjąć działania! — rozłączył się. — A zatem, Kapitanie Maczek, życzy ci ostrej śmierci na wynos. Zamówienie przyjęte, bezbeku! — rzucił krótko, uderzając pięścią w stół, a jego groźba poniosła się w mrok...

Cdn.?

M. Matłok

TECZOWA SAGA:

THE ORANGE COUNTY

- Maciek, po co pakujesz ten wzmacniacz Orange? – zapytała Maria.
- To bardzo dobry wzmacniacz – odparłem.
- Jesteś pojebany.
- Powiedziała jesieniara w pomarańczowych włosach z pomarańczowym kotem i pumpkin spice latte w ręce. Jesteśmy we śnie, nie przejmuj się pierdołami – wytknąłem.

Dokończyliśmy pakowanie najbardziej niezbędnych rzeczy i wzmacniacza. Lot mieliśmy o 16:50 z Okęcia, a podróż do Los Angeles miała nam zająć 12:30 godzin, więc postanowiliśmy uzgodnić, co można robić w tym czasie. Wychodząc naprzeciw, jak mi się zdawało, tego na co miałyby ochotę Maria, zaproponowałem LS-a.

- Mam dość ich mord. Oglądam codziennie o 18:00, ale z obrzydzeniem.
- Całe szczęście. To była kurtuazja z mojej strony. Wydaje mi się, że reżyserska wersja *Władcy Pierścieni* trwa coś koło tego...
- O! Dobra! Nie widziałam jeszcze.
- No to git, opowiem ci w trakcie pierwszej części o tym, że to skandal, że nie ma Toma Bombadila, który jest ważną postacią w książce.
- Zapomniałam, że jesteś nerdem tolkienowskim, chyba jednak wolę *Gwiezdne Wojny*.
- Spoko, nie będę ci psuł funu.

Lecąc na zachód, goniliśmy ciągle słońce, które czasem obserwowaliśmy przez małe okienko w klasie ekonomicznej. Widać nawet w najśmielszych snach nie przyszło nam do głowy, żeby lecieć klasą biznes, a może z racji tego, że podróżowaliśmy jako ultra poważni reportażyści, wepchnęło nas w romantyzm klasy ekonomicznej? Niby jak mielibyśmy być poważnymi dziennikarzami, podróżując klasą biznes? Na LAX byliśmy o 20:20, zamówiliśmy Ubera do naszego domku letniskowego i już po godzinie byliśmy na miejscu, gdzie mogliśmy się rozkoszować ostatnimi chwilami przed czekającym nas *jet lagiem*. Piliśmy zimne piwko na werandzie wynajętego domku w Newport, obserwując pomarańczowy zachód słońca. Powiedziałem do Mary:

— Nie ma to jak Harnold z lodoherbatą.
 — *Pomieszałam Harnolda z lodoherbatą, leżę na molo, a gardło łaskotam powoli pianą* — zaintonowała. Harnasi mieliśmy pod dostatkiem w naszej wyprawie śladami Gustavo Almodovara.

Jutrzenka nie była dla nas łaskawa, raziła nasze skacowane mózgi po *jet lagu*, jakby ktoś chciał wepchnąć jeszcze jeden mózg do naszych czaszek. Kiedyś pewien tartacznik, kładąc drugi kubik drewna na przyczepkę mojego brata, powiedział:

— Jak jeden kubik się zmieści, to i drugi wejdzie!

Skrzywił tym samym ośkę w przyczepce. Nasze głowy były taką przyczepką. Absolutnie nie mieliśmy ochoty na to, żeby jechać dzisiaj gdziekolwiek, a liberalne prawo stanu Kalifornia, dotyczące limitów alkoholu w wydychanym powietrzu, gównu nas teraz obchodziło. Całe szczęście zaplanowaliśmy tak naszą wycieczkę, żeby mieć jeden dzień na chorowanie po locie. Następnego dnia zajmujemy się Gustavo. Dzisiaj to nie ma sensu, dzisiaj trzeba się skupić na tym, żeby zjeść ostrożnie coś, próbując przy tym nie puścić pawia. Na nasze nieszczęście, Newport słynie ze smażalni ryb, a zapach bouillabaisse unosi się wszędzie. Przewietrzenie się z samego rana zaowocowało więc dokładnie tym, czego chcieliśmy uniknąć. Nie było czasu na przekomarzanie się o to, kto bierze kibel, a kto użyźni okoliczne sukulentę. Zgodnie z profilem naszych osobowości, ja rzuciłem się w krzaki, a Mary klęczała nad sedesem. Nigdy więcej harnasi, obiecaliśmy sobie po raz nie wiadomo który. Dopiero pod wieczór byliśmy w stanie przemyśleć nasze zachowanie i zaplanować następny dzień.

— Maciek — zaczęła poważnie Mary. — Nie mamy zielonego pojęcia o Gustavo Almodovarze ani o tym, gdzie go można znaleźć. Jaki masz plan?

— Plan? — odparłem zdziwiony. Ona chyba jeszcze mnie nie zna. Chyba nie uznaje jeszcze, że to jest sen i logika nie bardzo ma zastosowanie w tęczowych światach. — Pójdziemy sobie tam, gdzie nas nogi poniosą i w pewnym momencie natrafimy na Gustavo.

— Nosz kurwa...

— Spokojnie. To mój siódmy sen. Wiem, jak to działa — skłamałem.

Wcale nie uspokoiłem tym Mary, ale postanowiłem się tym nie przejmować. Prawdę powiedziawszy, samo przebywanie z człowiekiem sprawiało mi przyjemność. Rzadko zdarza mi się przebywać z człowiekiem. Kalifornijski poranek uraczył nas pięknym smogiem fotochemicznym we wszystkich odcieniach pomarańczowego. Tym razem wyruszyliśmy pełni werwy na molo, gdzie rozpoczęliśmy poszukiwania naszego bohatera. Oczom nie mogliśmy uwierzyć na widok tego, co zobaczyliśmy, gdy tam już dotarliśmy. Na molo stał cały rozświetlony Włodek Markowicz w czapeczce z logo BMW, który opowiadał coś zrezygnowanemu Karolowi Paciorkowi odzianemu w pomarańczową bluzę reprezentacji Holandii.

— O chuj... — wyrwało mi się.

— Ja pierdolę — zawtórowała Mary.

— No widzisz! Znaleźliśmy!

— Co znaleźliśmy?! Co znaleźliśmy?! Miał być Gustavo Almodovar, a jest Lekko Stronniczy!

— Marudzisz. Chodź, przywitamy się — zaproponowałem.

— Maciek, ale oni tu są sami, bez żon, może... no wiesz — rzuciła żartobliwą insynuacją.

— *Brokeback Mountain*? — zaśmiałem się. — Chodź, będzie im miło. Podeszliśmy do nich, niespecjalnie kryjąc się naszą obecnością. Nie chcieliśmy ich spłoszyć. Karol na widok Mary rozchmurzył się, a jego twarz wyrażała naraz tyle emocji, że trudno powiedzieć, co czuł. To, co powiedział, rozwiało nasze wątpliwości, a gdy spojrzeliśmy na wygląd Włodka, jego reakcja na Marię zaczęła mieć jeszcze więcej sensu.

— Marysiu, ratuj! Od wczoraj Włodek targa mnie po wszystkich lokalizacjach zdjęć do *The OC* i jeszcze zmusił mnie, żebym nosił pomarańczową bluzę, żeby było tematycznie. Powiedz, że wy robicie coś ciekawszego.

Nadzieja w jego głosie nakazała Marii wypowiedzieć nieśmiałym tonem:

— Szukamy Gustavo Almodovara...

Karol zaśmiał się w głos, klasnął w dłoń i poklepał Mary po plecach, po czym się zreflektował i zapytał mnie:

— A kim ty jesteś?

— Jestem Maciek i przepraszam Cię za to, że trafiłeś do mojego snu i musisz cierpieć przeze mnie.

— Jak to we śnie? Pierdolisz — odrzekł z niedowierzaniem Karol.

— Rozejrzyj się — poleciłem. — Wszystko jest pomarańczowe mniej lub bardziej. Czy według ciebie to normalne?

— No tak. Jak tak teraz o tym mówisz to nie mam pojęcia, jak się tu znalazłem i rzeczywiście, Włodek nigdy wcześniej nie był pomarańczowy — wpadł w zadumę, z czego skrzętnie skorzystałem i zagałęm do Włodka.

— Hej, Włodek, nie mogłem nie zauważyć tego, że masz na plecach gitarę, wiesz co? Jak miałem naście lat to też oglądałem *The OC* i z zespołem graliśmy tę piosenkę z serialu. Pewnie wiesz, o którą chodzi? Mam w torbie wzmacniacz Orange...

Włodek tylko głośno nabrał powietrza i niezgrabnie, acz niezwykle szybko, dobył gitarę ze swoich pleców niczym Wiedźmin w wersji Terrego Pratchetta. Ja niemal równie szybko podpiąłem jego gitarę do wzmacniacza i już po chwili pierwsze dźwięki zaczęły się sączyć z głośnika. Gdy tylko usłyszałem melodię, w moją pamięć wjechał tekst, a Karol, jak to zwykle Karol, też się uruchomił, zapytał Siri o tekst piosenki i zaczęliśmy we trójkę wyć:

We've been on the run / Driving in the sun / Looking out for number one / California here we come / Right back where we started from.

Maria pytała mnie zdezorientowanym wzrokiem, co tu się do jasnego Remigiusza Mroza dzieje. Odpowiedziałem jej przekazem myśli, żeby cieszyła się tym, czego doświadcza, bo zaraz się obudzimy. Absurd każdego snu przelewa się w pewnym momencie i to był ten moment. Obudziłem się obok stosu łupin po mandarynkach, jak to w każde święta, kiedy oglądam po pijaku najlepszych znanych mi perkusistów. To był już ostatni tęczowy sen.

Chciałbym mieć takie sny.

Hex Zero Rouge – Maciek

TEORIE SPISKOWE JAKO *FAN FICTION*

DO DYSKUSJI SŁÓW KILKA

Czym jest *fan fiction*? A czym jest teoria spiskowa? Czym się różnią, a jakie cechy mają wspólne? Sprawdźmy to!

Z definicji, fanfik to dzieło literackie tworzone nieoficjalnie przez fanów danego utworu – filmu, książki, serialu, gry itp. Tak samo teoria spiskowa jest wymyślana przez osoby zafascynowane jakimiś zjawiskami, zdarzeniami czy sławnymi osobami. Jednak w przeciwieństwie do fanfikowych autorów, konspiracyjniści są przekonani o istnieniu międzynarodowego spisku lub o działalności tajnych grup operacyjnych.

Fanfiki mogą być kontynuacją danego dzieła, tworzyć alternatywne wersje wydarzeń czy rozbudowywać inne niż główne wątki. Teorie spiskowe także często próbują tłumaczyć, co dzieje się dalej po wielkich wydarzeniach. Na przykład według jednej z nich Adolf Hitler wcale nie zastrzelił się w swoim bunkrze tylko uciekł do Argentyny. Inna z kolei mówi, że ukrył się w tajnej bazie zbudowanej po ciemnej stronie Księżyca. Co więcej, oba warianty nie wykluczają, że mógłby on jeszcze żyć. Te dwa przykłady idealnie wpisują się w jeden z rodzajów *fan fiction*, jakim jest *real-person fiction*, czyli opowiadania o osobach ze świata rzeczywistego.

Idąc dalej, fanowskie kontynuacje bardzo często rozwijają wątki romantyczne, nierzadko homoseksualne. Alternatywna prawda z kolei najbardziej upodobała sobie przypisywanie specjalnych ról różnym ludziom. Przykładowo Elvis Presley tak naprawdę miał być agentem CIA, jego kariera muzyczna była tylko przykrywką dla super-ściśle-tajnej operacji, a jego dom miał być siedzibą międzynarodowej siatki szpiegowskiej.

Fanfikowe dzieła publikowane są non-profit, tak ażeby uniknąć pozwu za łamanie praw autorskich. Autorzy teorii spiskowych również działają charytatywnie i za swoją działalność zwykle nie pobierają pieniędzy. Lecz powód, dla którego ci drudzy nie otrzymują za swoją „pracę” pieniędzy, jest nieco inny. Po prostu mało kto chciałby za ich mądrości cokolwiek płacić.

Autorzy dzieł, na podstawie których powstają fanfiki, mają zróżnicowane podejście do wykorzystywania ich pomysłów w fanowskich utworach. J. K. Rowling czy Terry Pratchett byli za, natomiast George R. R. Martin uważał to za przywłaszczenie stworzonych przez niego utworów. Myślę, że w przypadku teorii spiskowych ochrona zdrowia mogła być nieco zirytowana negowaniem istnienia pandemii, ale za to NASA może być rozbawiona powątpiewaniem niektórych na temat lądowania na księżycu, a naukowcy twierdzeniami o płaskim kształcie Ziemi.

Fanfiki mają swoją specjalną przestrzeń w internecie, najpopularniejszym portalem do ich zamieszczania jest Wattpad. Istnieje od 2006 roku, a pod koniec 2021 społeczność użytkowników była szacowana na ponad 100 milionów osób. Jeśli chodzi o teorie spiskowe, to ciężko wskazać jedno najważniejsze medium, gdzie są postowane. Dlatego określe je ogólnym mianem mediów społecznościowych. Również z aktualną liczbą osób w nie wierzących może być kłopot. Przed wszystkim ze względu na brak konsolidacji w jednym miejscu, ale także na to, że duża część piewców alternatywnej prawdy ukrywa się ze swoimi pomysłami.

Za najlepsze prace na Wattpadzie, od 2009 roku przyznawane są Wattys Award. Na tę okazję powoływana jest specjalna komisja oceniająca publikowane prace. Wyróżnionych jest 11 kategorii takich jak: science-fiction, romans, thriller, horror, young adult, powieści historyczne i *fan fiction*. Akceptowane są utwory napisane w jednym z 11 języków, m. in. angielskim, francuskim, hiszpańskim czy filipińskim. Natomiast za publikację teorii spiskowych nie ma oficjalnych nagród przyznawanych przez uznane grona. Dzieła te mogą zostać dostrzeżone jedynie na dwa sposoby: pierwszy to oklaski na Akademii Przebudzenia, a drugi to wyśmianie przez jakiegoś jutubera.

Zatem, czy mając na uwadze powyższe cechy jednego i drugiego można stwierdzić jakoby teorie spiskowe mogły być uważane za *fan fiction*? Zdecydujcie sami, znacie angielski.

Adus





Cdn.

Maia Pyszniowska

NIE WTRĄCAJ SIĘ

W NIE SWOJE SPRAWY...

To był dzień jak co dzień, praca w laboratorium, sprzątanie, analiza wyników, pilnowanie drożdży. Typowa praca redaktorki naukowej Magazynu Bezbek, ale wieczorem M. miała plany, pierwsze wyjście od dawna. Dostała zaproszenie do nagrań PKP, a tematem odcinka miały być rozmowy o miłości.

Nie mogli lepiej wybrać ekspertki, ponieważ była zainteresowana tematem od dawna, a do tego była szanowaną naukowczynią zajmującą się chemią i neurobiologią miłości. Miała też swoje powody, żeby interesować się tematem, ale wolała, by pozostały one tajemnicą, niestety nie każdy chciał to uszanować.

Godzina 17.30, mieszkanie redaktorki

Dobra, make up gotowy, profesjonalny outfit ubrany, notatki wzięte, spokojnie, redaktorko dasz radę — pomyślała.

Radek i Dawid zaprosili ją na godzinę 20, więc miała jeszcze godzinę do wyjścia, dlatego włączyła jedną z jej playlist na Spotify i zatonała w dźwiękach piosenek Imagine Dragons. Ocknęła się tuż przed wyjściem.

Studio Altenberg

Przyjechała chwilę wcześniej, a dziś przy nagrywkach towarzyszył jej Karol, prowadzący Imponderabilia. To dzięki niemu dziś występuje w PKP. Dalej była mu wdzięczna za Impo, w którym mogła pokazać swoją wiedzę i profesjonalne podejście, które zagwarantowało jej masę kolejnych zaproszeń do innych programów. Dziś też chciała to pokazać. Niestety towarzyszyło jej przecucie, że dziś rozmowa zejdzie na życie prywatne. Karol próbował z nią rozmawiać, że nie, nie będzie takich pytań, przecież Radek jest profesjonalistą, ale przecucie nie ustępowało.

Wybiła godzina dwudziesta i prowadzący program, wraz ze swoją gością, zasiedli do rozmowy, a Karol stanął za kamerą.

— Dziś w naszym podcaście mamy specjalną gościńię, specjalistkę od naszych zachowań, gdy jesteśmy zakochani, redaktorkę naukową z Magazynu Bezbek — zapowiedział ją Radek.

– Ciekawe, co powie o moich utworach? – Dawid zapytał ironicznie.
– Akurat je lubię i pięknie pokazują nasz dzisiejszy temat rozmowy – odpowiedziała. – Często widać w nich typową dla zakochanego człowieka nierównowagę emocjonalną, czyli to jak skrajne emocje możemy czuć zaraz po sobie.

– Powiedz więc od czego to zależy – odparł Dawid.

– Otóż podczas zakochania zmienia się nam chemia mózgu i poziomy hormonów, takich jak: serotonina, oksytocyna, a nawet adrenalina, której przecież nie kojarzymy z miłością. Dlatego też czujemy motyle w brzuchu podczas zakochania.

– Czyli chcesz nam powiedzieć, że zakochanie to stres?

– Trochę tak, ale, co jeszcze ciekawsze, podczas zakochania możemy zachowywać się jak szaleńcy, właśnie przez te zmienione poziomy hormonów. Z czasem co prawda wraca to do normy i znowu zachowujemy się normalnie. Co zresztą, Dawidzie, kapitalnie pokazałeś w utworze *To co masz Ty!* – odpowiedziała.

– Dobrze, bo mi zaraz zacznie mózg parować od nadmiaru wiedzy. Czy w ramach przerywnika mogę zapytać Cię, dlaczego zaczęłaś interesować się tym tematem? – zagaił Radek.

– Nie chcę za bardzo zdradzać moich motywów, mogę jedynie powiedzieć, że chciałam zrozumieć, co dzieje się w ludzkiej głowie podczas zakochania – próbowała odpowiedzieć wymijająco.

– No nie wstydz się, czy ktoś Ci złamał serce i próbowałaś poznać przyczynę? – Radek dalej próbował pytać.

– Widzę, że wuja Radek z Polimatów się tu włączył. Radku, proszę, żebyś o to nie pytał.

– Dobrze, dobrze, po prostu nasza kolejna część podcastu będzie o naszych miłościach – odparł, próbując się wycofać. – Dlatego zapytałem.

– Przerwa w nagraniu, bateria padła – krzyknął zza kamery Karol.

Próbowała ukryć zakłopotanie pod uśmiechem, który robiła zazwyczaj w takich sytuacjach. Radek poruszył jej wrażliwą strunę, temat, o którym zazwyczaj wolała nie mówić, bo nigdy tak naprawdę się nie zakochała, nie rozumiała, o czym ludzie mówią, kiedy rozpoczyna się dyskusja o miłości i zakochaniu, dlatego zaczęła zajmować się tym tematem.

– Czy będziesz chciała uczestniczyć w dalszej części naszego programu?

– Pytanie padło z ust Dawida, *off camera*.

– Wiesz co, chyba jednak podziękuję. Naprawdę miło mi, że zaprosiliście mnie do programu, ale jednak moja rolą jest opowiadanie o miłości od strony naukowej, nie prywatnej. Odezwiście się przy produkcji odcinka, bo chcę to zautoryzować. Miłej dalszej rozmowy, a co do płyty, Dawid, to jest świetna – próbowała przyjaźnie wyjść z sytuacji, ale w jej głowie zaczynała się już gonitwa myśli.

– Dziękujemy M., przepraszam, jeśli poczułaś się niekomfortowo, nie miałem takiego zamiaru – Radek tłumaczył się nerwowo.

Redaktorka nie miała mu tego za złe, bo nie wiedział o niej nic, poza tym co powiedziała w wywiadach i napisała w książkach.

– Nic się nie stało, ale muszę już iść. Jeszcze raz wielkie dzięki za zaproszenie – szybko się ubrała i wyszła ze studia.

Droga do mieszkania redaktorki

Dlaczego to zawsze się dzieje? — pomyślała. — Zawsze w sytuacjach mniej formalnych dostaję pytanie o motyw, o to, dlaczego chcę to badać. Czy ludzie nie mają o co pytać?

Spojrzała na swoją prawą dłoń, gdzie na środkowym palcu widniały dwa pierścionki, czarny i srebrny. Symbole jej trudnej realizacji lata temu, powodu, dla którego zajęła się tematem miłości. Nigdy nie rozumiała całego zamieszania wokół związków, dlaczego one mają być takie super. Podczas rozmów z rodzicami czy przyjaciółmi słyszała, że może po prostu nie znalazła jeszcze odpowiedniej osoby, jednak czas mijał, ona poznawała nowych ludzi, a dalej nie poznała tego podobno cudownego uczucia. Kilka razy w życiu co prawda myślała, że ktoś jej się podoba, że jest zakochana. Niestety zazwyczaj z tego nic nie wychodziło.

Kiedy jednak znalazła się w tym wymarzonym związku, uznała, że tego nie czuje, mimo to trwała w nim rok. Cały czas towarzyszyła jej myśl, że może coś poczuje, jeśli tylko postara się bardziej, bo przecież chłopak jest przystojny i zabawny, czego chcieć więcej.

Jednak związek się skończył, a M. poczuła się, ku swojemu zaskoczeniu, wolna, że już nie musi dawać się przytulać co chwilę, robić romantycznych gestów, których nie rozumie, poczuła ulgę. Mimo tego wszystkiego nie mogła pojąć, dlaczego tak się czuła, myślała, że jest dziwakiem.

Wspomnienie: mieszkanie redaktorki naukowej, kilka lat wcześniej, miesiąc po zerwaniu

— Coś tu mi nie pasuje — zaliła się koleżankom. — Przecież podobno wszyscy się zakochują, podobają się sobie, a mi jednak nikt. Ludzie podobają mi się tylko z wyglądu, nie chcę z nimi ani iść na randkę, ani tym bardziej do łóżka.

— A słyszałaś o osobach aseksualnych i aromatycznych? Bo to, co oni mówią, brzmi jak to, o czym mówisz — odparła jedna z nich.

— Coś tam mi się o uszy obito, wiesz coś więcej? — zapytała redaktorka.

— *Google it*, nie jestem alfą i omegą.

Inna koleżanka zmieniła temat na projekt, który miały robić, bo przecież wraz z zerwaniem czas się zatrzymał i studia dalej trwały.

Tego samego dnia, wieczór

M. zaczęła googlować, czym jest aseksualność i aromatyczność, przeglądała artykuły, oglądała Tik Toki, a z każdym kolejnym napotkanym materiałem łapała się za głowę, jak to możliwe, czy jest asem¹? Czuła się jednocześnie szczęśliwa, że jednak nie jest dziwakiem, ale też zła, na to kim jest.

Dni mijały i redaktorka zaczynała oswajać się z odkryciem na swój temat, mimo że mózg podsuwał jej myśli, że przecież zakochiwała się w ludziach. Było to dla niej ciężkie. Dla ulgi zaczęła szukać doniesień naukowych na temat miłości i zakochania, ku jej zdziwieniu nie było tego dużo, a temat wydał się na tyle ciekawy, że chciała sama nim się zająć.

¹ Określenie osób aseksualnych.

W czasie prowadzenia badań, zaakceptowała siebie, niestety dalej słyszała, że powinna sobie kogoś znaleźć, bo co to za życie bez partnera. Próbowła tłumaczyć, kim jest, ale nikt tego nie rozumiał. Dlatego zareagowała tak w studiu, bała się kolejnej oceny i wmawiania, że przecież każdy z nas żywi uczucia romantyczne do innych osób, a ona jeszcze musi znaleźć odpowiednią osobę.

Mieszkanie redaktorki naukowej, po powrocie z nagrań

Zatopiona w tych myślach wróciła do domu. Znów czuła się jak kilka lat temu, gdy była zła na siebie za to kim jest. Stwierdziła, że obejrzy sobie kilka toków dla poprawy humoru, wyjęła więc telefon z torebki i zobaczyła na ekranie SMS od Radka.

Hej, głupio wyszło, przepraszam. Dawid zwrócił mi potem uwagę na Twoje pierścionki i powinienem się od razu zorientować. Czy chciałabyś jeszcze raz nagrać naszą rozmowę? Tym razem nie włączę trybu Wuja Radek, obiecuję.

Przemyślała tę propozycję i zgodziła się. Następne nagranie było już bardziej merytoryczne, a chłopaki nie zadawały już niewygodnych pytań.

smallbigdream



DO TRAMWAJU

TRZEBA CZWORGĄ

Kiedyś na grupie pojawił się post z pytaniem o sny związane z Lekko Stronnictwami. Zdarzyło mi się takowy mieć, więc go opisałam, a to opowiadanie jest tymże snem zainspirowane. :)

Strasznie wczoraj zabalował. Pił do niemal piątej rano. Trochę bolał go krzyż. Niektórzy mówili, że nie można być poważnym youtuberem i imprezować. Można, tylko trzeba było wcześniej wstawać na nagrania. Na tym polega odpowiedzialność.

Co to on miał... a tak, nagranie Impo. Na wywiad w końcu zgodził się mistrz kuchni włoskiej Gino D'Acampo, długo wyczekiwany gość zarówno przez niego samego, jak i widzów. No, może zaraz po Włodku albo Angelice Jarosławskiej księżnej Sapiesze, ale to była już całkiem inna sprawa. W każdym razie miał to być film wiekopomny i Karol dziękował samemu sobie z przeszłości, że ustalił tę rozmowę na trzynastą i mógł się chociaż trochę wyspać.

Wnioskując po ilości światła, jaka przedzierała się przez zamknięte powieki, budzik powinien być zaraz zadzwonić. Jak na imprezowicza godnego nominacji do komendanta melanżu, czuł się wyśmienicie. Dawało to nadzieję na przyszłość i szansę na dotarcie do studia świeżym i wypoczętym.

Leżał bezwładnie i dopiero po chwili dotarło do niego, że gdzieś z daleka słycać popiskiwanie pomieszane z dzwonieniem. Skrzywił się mimowolnie. Jak nic Ramen dorwał się do jakiejś zabawki i biegał z nią po całym mieszkaniu jak szalony. Hałasy robiły się coraz wyraźniejsze i głośniejsze. Karol już miał otworzyć oczy i wstać, żeby dokonać wymiany narzędzia tortur na probiotyk, kiedy usłyszał, że ktoś wypowiada jego imię.

Czyżby Karolina pracowała dzisiaj z domu? Tylko coś nie grało, bo głos był męski. A nie wyglądała wczoraj na przeziębioną.

„Karol!”
No przecież nie pies.

„Karol!”

Może faktycznie hulał za mocno, skoro Ramen zaczął mówić ludzkim głosem.

„Karol!”

Otworzył oczy. Zdecydowanie nie był we własnej sypialni. Po kilku sekundach zrozumiał, że znajduje się w pociągu, a dokładniej w jednym z przedziałów w Intercity. Odwrócił głowę i na siedzeniu obok zobaczył Włodka, przyglądającego mu się z uwagą. Dźwięki, które pierwotnie wziął za zabawkę Ramena, wydawał czarny telefon z klawiaturą o dość charakterystycznym kształcie. Poza nimi w przedziale znajdowała się tylko starsza pani, która niczym niewzruszona czytała *Konia z Valonny*.

— Na następnej stacji wysiadamy, Karol, musisz się dobudzić — poinformował go przyjaciel, wskazując głową na widok za oknem. Ach, no tak, wyjazd na nagrania do Wrocławia. Zachciało się zagranicznych wojaży.

— Ale dziś miałem sen... — mruknął Karol, próbując doprowadzić się do stanu używalności. Pierwszą rzeczą, którą muszę kupić na dworcu, to kawa. Koniecznie.

— Kupiłeś sobie parę butów, brzydkich i za dużych? — podsunął Włód z uśmiechem, nie przerywając stukania w klawiaturę swojego telefonu. Jeden rzut oka wystarczył, żeby dojrzeć na ekranie charakterystyczne barwy portalu OLX.

— Nie, dlaczego miałyby mi się śnić akurat to? — zdziwił się, chociaż coś mu dzwoniło, że gdzieś już widział ten tekst. Pewnie w jakimś memie albo klasyku internetu, który go ominął.

— Oj, Karol, mógłbyś obejrzeć uważniej *Misję Kleopatry*. — Włodek spojrzał na niego z dobrotliwym uśmiechem. — Wtedy wiedziałbyś, o czym piszą do ciebie widzowie w memach. Och, interesujące... — przerwał i skupił się na czytaniu jakiejś oferty. — Myślisz, że 1500 zł za alufelgi do BMW to dobra okazja?

— Myślę, że nie i myślę, że naprawdę łatwiej byłoby ci korzystać w tym przypadku z iPhone'a. — powiedział, wskazując brodą na telefon. — Włodeczku, naprawdę, Blackberry nie jest telefonem najbardziej przystosowanym do przeglądania internetu.

— Widzisz, Karol, jakbyś zagłębił się trochę w historię technologii, to zauważyłbyś, że pewne trendy znikają i znów się pojawiają albo zataczają kręgi. Pomyśl o rozmiarach komórek — najpierw duże, potem coraz mniejsze, a potem znowu duże. Aparaty analogowe też są teraz znowu w użytku. Albo winyle. Blackberry kiedyś wróca, mówię ci. A ja będę pionierem tego trendu.

Nie dane im było jednak przedyskutować kierunków, w jakich zmierza technika, ponieważ przez lekko trzeszczący głośnik konduktor ogłosił, że zbliżają się do stacji. Kilka minut później obaj wysiedli na zatłoczony peron. Karol od razu zaczął rozglądać się za jakąkolwiek kawiarnią, kiedy do jego wciąż przytłumionego spankiem mózgu wdarł się paskudny dźwięk hamującego na sąsiednim torze Pendolino. Skrzywił się i już miał poprosić Włodka, czy mogliby ruszyć na poszukiwanie napoju bogów, kiedy zobaczył, że jego przyjaciel macha komuś z daleka. Podążył wzrokiem w tamtym kierunku i zobaczył wysiadających z wagonu trzech dobrze znanych mu mężczyzn. Kontakt wzrokowy został nawiązany i po chwili cały kwintet naczelnych memiarzy wymieniał powitania na płycie wrocławskiego peronu. Karolowi przemknęło przez głowę, że gdyby narysować między nimi linie, to wyszedłby im pentagram. Wolął jednak nie pytać, kto lub co by przez niego przeszło. Miał niejasne przeczucie, że towarzyszące temu dźwięki nie byłyby zbyt przyjemne.

— ...to dopiero o dwudziestej pierwszej, mamy jeszcze masę czasu. — Radek najwyraźniej próbował przekonać Dawida do jakiejś niecnej inicjatywy, bo ten patrzył na niego niezbyt przekonany wzrokiem. Co dziwniejsze, zwykle wyważony Włodek stał tuż obok i entuzjastycznie przytakiwał. Remigiusz Mróz, z jakiegoś powodu odziany w strój Sherlocka Holmesa, pykał fajkę z bańkami mydlanymi i obserwował ich bez słowa.

— A do czego? — Karolowi coś ewidentnie umknęło, a miał wrażenie, że jego obecność na czymś o dwudziestej pierwszej została założona i wolął wiedzieć, w czym bierze udział.

— Do koncertu przecież. — Włodek spojrzał na niego zdziwiony, jakby jego współprowadzący zadeklarował właśnie, że nie lubi bagietek z masłem. — Dzisiaj, na skwerku, chłopaki występują. A my prowadzimy.

— Fajny z ciebie przyjaciel, Karol. — Radostaw wyglądał na wyjątkowo oburzonego, że kolega mógł zapomnieć o czymś tak istotnym.

— Jakim cudem zapomniałem? — Sprawa brzmiała na ważną, więc raczej by o niej pamiętał. Albo zapisał chociaż. — I jakie chłopaki?

— No my, no. — Dawid rozłożył ręce, wskazując na siebie i stojących obok mężczyzn. — Stworzyliśmy projekt muzyczny i dzisiaj mamy pierwszy występ, mordo. Bracia Akwamaryna.

— Ach, no tak. — Próbował nie dać po sobie poznać, że pierwszy raz słyszy o tym, żeby koledzy założyli tercet. Z jednej strony nie brzmiało jak oni. Z drugiej... Radek robił ostatnio wiele rzeczy, więc może zapragnął wrócić do kariery muzycznej, zaś Remigiusz uznał, że musi się czymś zajmować w wolnym czasie między pisanie kolejnych książek. A oni z Włodziem najwyraźniej zgodzili się wziąć w tym przedsięwzięciu udział. Nie wyglądało jednak na to, żeby musieli śpiewać albo tańczyć, a to już pół sukcesu. W pozostałych kwestiach mógł improwizować.

— Przepraszam, wiecie jak jest, człowiek się nie wyśpi, mózdzek się nie załączy, to i pamięć nie ta...

— Mózdzek nie odpowiada za pamięć. — Gdzieś blisko odezwał się znajomy głos i kiedy spojrzał w bok, zobaczył idącego obok Dawida M., zwanego w niektórych kręgach Bombowcem. — Od tego jest hipokamp. A w ogóle to mózdzek nie uszkodza się od niewyspania. — I zanim Karol zdołał powiedzieć cokolwiek, Dawid minął ich i po chwili zniknął z pola widzenia.

— ...więc jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, to idziemy zwiedzać zajezdnię tramwajową — podsumował redaktor Kotarski, dając tym samym znak, że nie ma co bez sensu stać, tylko pora ruszać w miasto.

Z postoju taksówek udali się do hotelu. Karola już nawet nie zdziwiło, że wszyscy śpią w tym samym. Czas wyjścia ustalono na czternastą, z dopuszczalnym błędem trzech minut. Punktualnie za pięć drugą Karol stanął się w lobby hotelu, gotowy na przygodę. Wciąż nie napił się kawy, ale z zapowiedzi kolegów wynikało, że znajdzie kompana do załatwienia tej coraz bardziej palącej kwestii. Ponieważ jeszcze nikt się nie pojawił, odpalił przeglądarkę i rozpoczął intensywne przekopywanie internetu. Chwilowo miał więcej pytań niż odpowiedzi, ale dzięki dobrodziejstwu światowej sieci mógł uzyskać chociaż trochę wyjaśnień. Na przykład, dlaczego idą do zajezdni. I przy okazji

dowiedział się, że jedną z atrakcji na dniu otwartym MPK jest możliwość poprowadzenia tramwaju.

Z intensywnego researchu wyrwał go cień padający na ekran telefonu. Podniósł głowę i zobaczył nad sobą wyszczerzoną twarz redaktora Podsiadły, który z jakiegoś powodu miał na sobie ciemne okulary, kapelusz i garnitur.

— Będziemy w tej zajezdni tropić zagadki Wodzisławia czy idziemy na spotkanie z jakimś prezydentem? — zapytał lekko zbity z tropu, ponieważ widział już kolegę we wszystkich elementach stroju, ale chyba nigdy jednocześnie.

— Jeśli jakiś będzie, to się z nim spotkamy — odpowiedział niewzruszony muzyk, rozsiadając się na kanapie naprzeciwko. — Zamieniłem się z Radkiem stylową.

— Czemu?

— Dla anonimowości, przygody, poznania lepiej drugiego człowieka. Wiesz, czasami potrzeba jakichś zmian, powiewu świeżości, wejścia w czyjeś buty, chociaż może bardziej metaforycznie, bo te lakszuły są jednak moje...

— W sumie, niegłupie — przyznał. — Ciekawe, co by było, gdybyśmy my z Włodkiem zrobili podobną zamianę. Albo ja z Ewą. Wyglądałbym pewnie jak najładniejszy ibis na sawannie.

— Ibisy nie występują na sawannie. — Karol podskoczył, ponieważ z za oparcia kanapy zniecka wychylił się

Dawid, ale Myśliwiec. — To ptaki raczej bagienne i leśne — dodał i wstał i spokojnym krokiem udał się w kierunku schodów na piętro. Karol nie zdążył się nawet zastanowić, co właśnie zaszło i czemu kolega też tu jest, bo właśnie obok nich pojawił się uzbrojony w plan miasta i aparat Włodek. Karol z daleka rozpoznał Canona EOS 4000D z obiektywem 18-55 DC III. Chwilę potem w holu pojawił się ten drugi z PKP.

Widok był co najmniej niecodzienny. Internet miał dowody na to, że Radostaw Kotarski nosi coś innego niż koszule, ale ostatni raz Karol widział przyjaciela w tak kolorowej stylizacji, kiedy ten odziany w bluzę w japońskie konsole biegał po mieście, nagrywając teledysk hip-hopowy w 2014 roku. Teraz pojawił się przed nimi w stylizacji, której głównym elementem był rozciągnięty wełniany sweter w kremowo-szaroszmaragdowe pasy.

— A gdzie Remigiusz? — Karol rozejrzał się zdziwiony, bo pisarza nigdzie nie było widać.

— Och, powiedział, że musi zostać i kończyć pisanie książki. Wiesz, termin na wtorek, a ma dopiero dwie trzecie treści.

Zmęczenie podróży dawało się wszystkim we znaki, a do wieczora faktycznie było jeszcze trochę czasu. Podjęto więc decyzję, że przed atrakcją turystyczną w postaci bazy tramwajowej uzupełnią braki w energii, każdy na swój własny sposób. Włodek z radością na twarzy udał się do znajdującego się nieopodal Maczka, a Radek, uznając, że wróci do swoich



Anna Jankowiak

studenckich korzeni, poszedł szukać kebaba. W tym czasie pozostała część wycieczki zaopatrzyła się w kawę, sprzedawaną z małej witryny na parterze komunistycznego bloku. Karol dowiedział się przy okazji spaceru, że debiutancką piosenką Braci Akwamaryna jest utwór *Znaki na chodniku* i Radek gra w nim na cymbałkach. Potem rozmowa zeszła na motoryzację.

— Retro samochód bym sobie kiedyś kupił. — Dawid popatrzył rozmarzonym wzrokiem w dal. — Ale nie jakąś Syrenkę czy Żuka. Chevroleta nawet nie. De Loreana, Karol. Takiego jak z filmu. Podjechałbym pod twoje studio, otworzyłbym te kosmiczne drzwi i ruszylibyśmy w miasto. Tak to widzę.

— Stary, jak wydacie zespołem płytę i namówisz Remigiusza do tańczenia w wideoklipie, to sam ci go kupię — zapewnił Karol, który lubił robić ludziom prezenty. Miał tylko nadzieję, że Mróz nie rozbudzi w sobie pasji do współczesnego jazzu czy innej samby z dnia na dzień, bo nie zdąży uzbierać. W tym wypadku musiałby chyba poprosić Włodka, żeby napisał mu skrypt do przeczytywania stron z aukcjami. Tak, Włodek na pewno wiedziałby, jak to załatwić.

Po burzliwej rozgrywce w papier-kamień-nożyce ustalona została kolejność prowadzenia pojazdu. Szczęśliwy Włodek wraz z panem Andrzejem ruszył do kabiny, a pozostali usiedli na krzesetkach i rozpoczęli podróż w nieznaną. Okazało się, że elementem rozrywki jest zabieranie pasażerów, więc po jakimś czasie w wagonie pojawiło się więcej osób.

— Jaka fajna zabawa! — podsumował Włodek, kiedy dojechali do postoju i nastąpiła zamiana. Rozległo się głośne „piiiiip!” i tramwaj prowadzony przez Radka ruszył po torach w dal.

— Ojoj! — wymusknęło się Dawidowi, kiedy gdzieś spod ich stóp dało się słyszeć skrzypnięcie, a tramwaj zahamował. Ruszyli znów, ale kawałek dalej coś stuknęło i burknęło, jednak wciąż poruszali się do przodu. — Bylebyśmy nie wjechali w żaden dom.

— No, zdecydowanie nie jest to płynna jazda — skomentował cicho Karol, kiedy po serii chrupnięć wtoczyli się na kolejny przystanek. — Jak tak dalej pójdzie, to rozleci się jakiś pasek rozrządu i tyle będzie z zabawy.

— Tramwaje nie mają pasków rozrządu — rozległ się głos za jego głową. Kiedy się obrócił, zobaczył stojącego kawałek dalej Myśliwca. — Tu raczej podwozie jest nie najlepsze. I szyny, szyny też pozostawiają wiele do życzenia — podsumował, po czym, jak gdyby nigdy nic, wysiadł i zniknął za wiatą.

Po paru przystankach przyszła kolej redaktora Podsiadły, który poprawił swój kapelusz i ruszył na misję. Tramwaj wciąż wydawał z siebie dźwięki, ale teraz brzmiały one o wiele bardziej rytmiczne i melodyjne, zupełnie jakby cały pojazd grał pod komendę prowadzącego do mężczyzny. Nawet drzwi do kabiny na sam koniec otworzyły się w tonacji Es-dur.

— No, pora na pana! — zawołał pan Andrzej, machając do Karola, który podniósł się z siedzenia i niezbyt pewnym krokiem wszedł do kabiny.

— Powodzenia, Karol! — krzyknął za nim Włodek. Odpowiedział mu uniesionym do góry kciukiem, a potem usiadł na fotelu i spojrzał na wszystkie przyciski, dźwignie i gałki.

— Najpierw trzeba nacisnąć tutaj, potem poczekać na dzwonek, potem ten guzik, a teraz powoli popchnąć tę dźwignię. — Motorniczy instruuował go spokojnym głosem, a Karol robił wszystko, co mu kazano. Tramwaj ruszył z przystanku. — Bardzo dobrze, teraz pan trochę przyspiesz. Pokręć tu, stopą tam, no, śmiało! — zachęcał, ale Karol był coraz mniej pewny, czy to był dobry pomysł. Dziwnych odgłosów nie było słychać, ale strasznie trzęsło. Zdecydowanie za mocno, jak na jego gust. — Z sercem! — namawiał pan Andrzej, ale telepało nimi coraz bardziej. Droga była prosta i przystanek znajdował się bardzo daleko przed nimi, ale nie chciał jechać szybciej, bo koszmarnie rzucało. Chłopaki z tyłu też to poczuli, bo podeszli do kabiny i zaczęli go wołać.

— Karol!

— Karol!

— Karol!

Tramwajem trzęsło niemożliwie i miał wrażenie, że zaraz spadnie z fotela. Miotano nim na wszystkie strony. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek rozwiązania i nagle zobaczył wielki uchwyt z napisem „hamulec awaryjny”. Wyciągnął rękę, żeby go pociągnąć, ale zamiast tego złapał coś miękkiego.

— KAROL!

Otworzył gwałtownie oczy. Kabina tramwajowa zniknęła — zamiast niej była kanapa, a widok na odległy przystanek zastąpił referencyjny telewizor. Nadal jednak bujało. Nie była to jednak zastuga krzywych szyn, a Włodka, który trząsł go za ramię z całej siły.

— Na litość boską, Karol, obudź się wreszcie, za chwilę musimy nagrywać LS-a!

Marta Kaczkowska

W MROŹNYCH

OBJĘCIACH MIŁOŚCI

Wbiegłem szybko do kawiarnii, choć i tak byłem już cały mokry. Kurwa, pomyślałem, dlaczego za każdym razem, gdy biegam, musi padać? Czy to kara za to, że nie wierzę w Boga i wyśmiewam papieża w LS-ie? A może po prostu to skutek zmian klimatu? Usiadłem w rogu kawiarnii, rzucając niby przypadkowe spojrzenie w kierunku kelnerki. Zamówiłem espresso i kawałek sernika.

W momencie, w którym kelnerka przyniosła zamówienie, do kawiarnii wszedł mężczyzna w średnim wieku, co wzbudziło zainteresowanie wśród obecnych gości. Szeptali do siebie, dyskretnie spoglądając w jego kierunku, robili zdjęcia. Ci bardziej śmiali podszli do niego, prosząc o autograf i zdjęcie. Za każdym razem zgadzał się na to. Kto to jest? Po reakcjach ludzi zakładałem, że ktoś znany, ale ja w ogóle nie kojarzę tego gościa. Zapewne to uczestnik jakiegoś programu typu Warsaw Shore. Gdy kelnerka podeszła do mnie z pytaniem, czy może chciałbym zamówić ciasto dnia, zapytałem ją, kim jest ten facet. Nie wie pan? — zapytała, nie kryjąc zdziwienia. — To Remigiusz Mróz, popularny pisarz, który od kilku lat nie schodzi z list bestsellerów. Podziękowałem jej i poprosiłem o rachunek. To zapewne jakiś mierny pisarzyna tworzący pornoksiążki w stylu Blanki Lipińskiej. Niestety obecnie tylko to się sprzedaje, pomyślałem, zbierając się do wyjścia. Gdy otworzyłem drzwi, rzuciłem szybko na niego okiem. Nasze spojrzenia się spotkały.

II

Szczekanie Ramena oznaczało dwie rzeczy: albo przyszedł Włodek, albo w moim studiu jest duch, który widzą tylko zwierzęta. Tym razem chodziło na szczęście tylko o Markowicza.

— Cześć, Włodeczku — podałem mu dłoń, jednocześnie biorąc od niego opakowania z jedzeniem. — Spotkałem dzisiaj Remigiusza Mroza.

— To on w ogóle wychodzi z domu? Wydawało mi się, że jeśli ktoś tak dużo pisze, to nie ma czasu na życie — zdziwiło mnie, że Włodek wie, kim on jest. Czy jestem jedyną osobą w Polsce, która wcześniej nie słyszała o Mrozie?

— Czytałeś jakąś jego książkę?

— Nie, przecież wiesz, że nie przepadam za kryminałami. Zabijanie ludzi zawsze jest złe. Natomiast Mon raz na jakiś czas sięga po jego książki. Zwłaszcza, gdy podróżuje pociągiem do swoich rodziców. I później opowiada mi o fabule.

— I jak? Ciekawe są chociaż jego wypociny?
 — Sztampowe gówno jakiego wiele na rynku książki. Ciągłe te same schematy. Nie czytałem, ale już samo słuchanie o jego powieściach mnie nudziło.

Usiadłem na swoim miejscu, abyśmy wreszcie zaczęli nagrywać. Nie chciało mi się już gadać o Mrozie. Strasznie mnie on irytuje. Nagrywki trwały bardzo długo, bo aż cztery godziny. Mieliśmy dużo materiału. Włód opowiadał o swoich OLX-owych przygodach oraz oczywiście o Kuro, ja zdałem relację ze swoich treningów biegowych, poza tym w kilku mniejszych miejscowościach doszło do śmiesznych imb, a w Ropczycach zamknął się lokal, który Markowicz znał od czasów dzieciństwa.

Po nagraniach, oraz oczywiście zjedzeniu mnóstwa rzeczy ze złotych łuków, odprowadziłem Włodka do jego samochodu, biorąc przy okazji Ramena, ponieważ chciał wyjść na spacer. Ostatnio poznał on suczkę, która chyba bardzo mu się spodobała, i przez to chce częściej wychodzić na dwór.

Gdy pomachałem Włódkowi, jak odjeżdżał, skręciłem w stronę parku. Ramen był troszkę smutny, ponieważ nie spotkał swojej nowej koleżanki. W parku było mało ludzi, dzięki czemu spacer przebiegał bez większych komplikacji. Wracając, przechodziłem obok niedużej księgarni prowadzonej przez miłego pana w średnim wieku. Na wystawce znajdowały się książki jakichś celebrytów oraz najnowsza pozycja Remigiusza Mroza z ogromnym napisem 21 TOM CHYŁKI! CZY UDA JEJ SIĘ ODKRYĆ PRAWDE? Dwadzieścia jeden tomów... Tyle drzew zmarnowano, aby wydrukować jakieś wypociny, westchnąłem, kierując się w stronę mieszkania.

III

Następnego dnia miałem o wiele lepszy humor, ponieważ był to dzień treningu. Na śniadanie zjadłem dwie bułki z masłem, serem i ogórkiem. Po spacerze z psem wzięłem szybki prysznic, przebrałem się w strój sportowy, włączyłem moją playlistę do biegania i ruszyłem przed siebie. Celem było przebiegnięcie piętnastu kilometrów truchtem.

Pogoda była wspaniała. Nie było upalnie, a delikatny wiatr smagał przyjemnie w moją twarz. Mijałem też kilka innych osób, które również biegały. Fajne jest to, że biegacze zwykle okazują sobie jakieś drobne gesty, które mają być z jednej strony powitaniem, a z drugiej też motywacją. Miły akcent w tym, cytując klasyka, smutnym jak pizda mieście.

Gdy byłem już na ósmym kilometrze, upadłem, delikatnie krzyżąc. Krzywo stanąłem, przez co kostka wyginęła mi się w dziwny sposób. Próbowałem wstać, ale bolało jak cholera, przez co znowu upadłem. Zajebiście, pomyślałem, czemu akurat mnie się to przydarzyło?!

— Nic ci nie jest? — Dobiegł mnie dziwnie znajomy głos. Odwróciłem się i zobaczyłem Remigiusza, który biegł w moją stronę.

— Co ty tutaj robisz?

— Biegałem. Po napisaniu kilkadziesiąt stron lubię przewietrzyć sobie głowę. Twoja kostka nie wygląda zbyt dobrze — powiedział, patrząc się z przerażeniem na moją nogę.

— To nic poważnego, dam sobie radę — nie chciałem, żeby mi pomagał. Nie wiem dlaczego, ale czuję do niego niechęć. Może dlatego, że pozuje się na pana idealnego? Próbowałem wstać, ale znowu się nie udało. Upadając, uderzyłem się w tylną część ciała.

— Pomogę ci wstać i zaprowadzę do najbliższej ławki. Później pobiegę szybko do mieszkania, wezmę samochód i zawiozę cię na SOR, ponieważ wygląda, jakby kostka była złamana. — Najpierw chciałem zaprotestować, ale się poddałem. Doszedłem do wniosku, że sam nie dam rady dostać się do szpitala. Poza tym podobało mi się to, że się o mnie troszczy. A moment, w którym mnie dotknął, był dziwnie przyjemny.

Musi mieszkać niedaleko, ponieważ po około dwudziestu minutach przyjechał po mnie. W samochodzie nie rozmawialiśmy. On starał się jak najszybciej dostać do szpitala, a ja byłem lekko zestresowany. Nigdy nie miałem nic złamane, a poza tym smuciło mnie to, że zapewne na co najmniej miesiąc będę musiał zrezygnować z treningów.

Bardzo dawno nie byłem w szpitalu, dlatego zaskoczyło mnie, że w ciągu dwudziestu minut od przybycia mogliśmy wejść do lekarza. Poza tym personel był miły. Może dlatego, że rozpoznali Remigiusza? Zdjęcie rentgenowskie nie pozostawiło złudzeń, doszło do zwichnięcia. Uff, zamiast gipsu będę miał szynę gipsową.

IV

Po wyjściu ze szpitala oraz wykupieniu dwóch lekarstw, Remigiusz odwiózł mnie do mojego mieszkania. Okazało się, że niedawno przeniósł się na to osiedle. Pomógł wejść mi po schodach oraz zostawił swój numer telefonu na kartce, gdybym czegoś potrzebował. Wyszedł, zanim zdążyłem mu podziękować.

Cały czas głowiłem się nad tym, że przebywając w jego otoczeniu, czułem dziwne wibracje. Po jego wyjściu miałem ochotę wymyślić jakikolwiek pretekst, żeby móc poprosić go o pomoc. Chciałem, aby był jak najdłużej przy mnie i się mną zajmował. Myśl, że mógłbym nie być heteroseksualny, trochę mnie przeraziła. Żyję ponad trzydzieści lat i powinienem chyba wiedzieć, jakiej jestem orientacji. Poza tym dziwne, że nigdy wcześniej żaden facet mi się nie spodobał i skupiałem się głównie na kobietach, z którymi albo wchodziłem w krótkie związki, albo uprawiałem niezobowiązujący seks. Chciałem uciec od tych myśli, ale na niczym nie mogłem się skupić. Gdy otworzyłem lodówkę, zauważyłem, że jest prawie pusta. Tak!, ucieszyłem się, mam realny pretekst do tego, aby do niego napisać. Dwie minuty po tym, jak napisałem mu SMS-a z pytaniem, czy mógłby kupić mi kilka rzeczy, odpisał, że nie ma sprawy i że ogarnie to w ciągu godziny.

To była najdłuższa godzina w moim życiu. Gdy usłyszałem hałas na klatce, otworzyłem drzwi.

— Wielkie dzięki — powiedziałem z uśmiechem. — Ratujesz mi życie.
— Nie ma sprawy. Mogę też wziąć Ramena na spacer, a później ugotować ci obiad.
— Nie trzeba.
— Lekarz powiedział, że nie powinieneś się przemęczać, tylko leżeć z nogą w górze. Jeśli chcesz szybko wrócić do biegania, lepiej trzymaj się tych zaleceń — powiedział to takim tonem, jakby był moim ojcem. Poczutem gęsią skórę.

Jeszcze przez kilka minut rozmawiałem z nim na ten temat, ale nie udało mi się go przekonać. Cholerny pisarzyna, umie dobrze argumentować swoje zdanie. Po pięćdziesięciu minutach zacząłem się trochę martwić, ponieważ spacer z Ramenem są zwykle krótsze. A może mnie oszukał, żeby ukraść mojego psa i później go sprzedać? Zadzwoiłem do niego, ale nie odbierał. Pół godziny później wrócił.

— Co tak długo?

— Ramen spotkał jakiegoś psa i chyba wpadł mu on w oko, bo trudno było go odciągnąć. A ja trochę też zagadałem się z właścicielką.

Wszedł do kuchni, próbując zorientować się, co gdzie leży. Leżałem na kanapie w salonie, oglądając jakiś TVN-owski serial i dobiegały mnie tylko różne zapachy oraz delikatne warknięcia i sapnięcia Ramena, który bardzo chciał spróbować to, co Remigiusz akurat kroił bądź smażył. Niedługo później na stole wylądowało spaghetti, które wyglądało bardzo smakowicie.

Gdy jedliśmy, rozmawialiśmy praktycznie o wszystkim. Okazało się, że Remigiusz zna mnie z Internetu.

— Oglądam tylko te odcinki, które są o mnie — zażartował, pokazując swoje białe zęby oraz patrząc się na mnie z czułością. A przynajmniej ja to tak odczytałem.

— W takim razie musimy z Włodkiem częściej gadać o tobie. Takie odcinki mają więcej wyświetleń. Może wtedy byłoby mnie stać na tak drogie garnitury, w jakich chodzisz — uśmiechnąłem się zalotnie.

— Dostaję je od różnych marek, więc nie muszę za nie płacić. Warunkiem jest to, abym raz na jakiś czas pokazał się w nich na jakiejś ścianie albo wrzucił zdjęcie na social media.

Jedzenie było tak pyszne, że poprosiłem o dokładkę.

— Bardzo mi to schlebia, bo moja mama zawsze mówiła mi, że nie umiem gotować. Raz nawet spaliłem jajecznicę.

— Przynajmniej spaghetti wychodzi ci bardzo dobrze.

Rozmawialiśmy później jeszcze przez około godzinę, śmiejąc się przy okazji z jakiegoś paradokumentu oraz literatury erotycznej, która zalewa obecnie rynek książki. I to nie tylko polski.

— Dobra, ja muszę lecieć. Chciałbym jeszcze napisać przynajmniej dwa rozdziały, a później idę jeszcze na galę. Pamiętaj, jak będziesz czegoś potrzebował, pisz.

— Dzięki wielkie za wszystko – powiedziałem, najpierw podając mu rękę, a później delikatnie go przytulając. — Uratowałeś mi w sumie życie. Nie wiem, jak sam dałbym sobie radę.

— To nic wielkiego.

Zrobiłem to szybciej, niż pomyślałem. Kciukiem startem mu sos spaghetti, którego resztki zgromadziły się obok ust. Staliśmy bardzo blisko siebie. Czuję, jakby czas na chwilę się zatrzymał. Serce zaczęło mi bić mocniej, czułem delikatne podniecenie. W tym momencie Remigiusz przejął inicjatywę. Objął mnie pewnie i pocałował. Jego broda przyjemnie głaskała mnie po twarzy, a później po szyi. Przeszliśmy do salonu nawet sprawie, zważając na to, że mam uszkodzoną nogę. Położył mnie delikatnie na łóżku, a później przeżyłem najlepsze trzydzieści minut swojego życia.

Ciąg dalszy być może kiedyś nastąpi...

Tomasz L.

MEŃCZYŻNA, KTÓRY UDERZY DZIECKO

Szybka i bezpieczna recenzja książki R. Kotarskiego

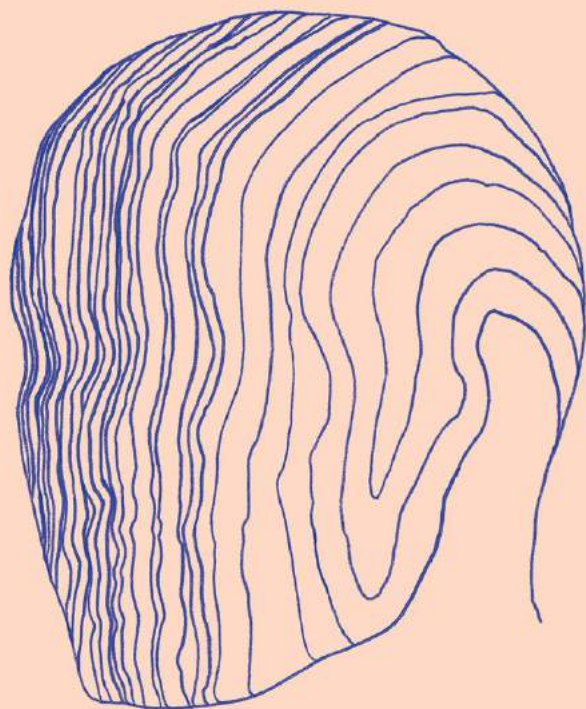
Książkę otrzymaliśmy jako prezent od Radka Kotarskiego.

Czuję na sobie presję. Z całej naszej magazynowej redakcji to właśnie na mnie ciąży odpowiedzialność, obowiązek, a także przyjemność napisania tej recenzji. Na samym wstępie chcę podkreślić, że nie chciałam psuć sobie zabawy i nie przeczytałam żadnych opinii na temat książki. Po prostu czekałam, aż przesyłka z wydawnictwa Altenberg trafi wprost do paczkomatu znajdującego się w Zielonej Górze.

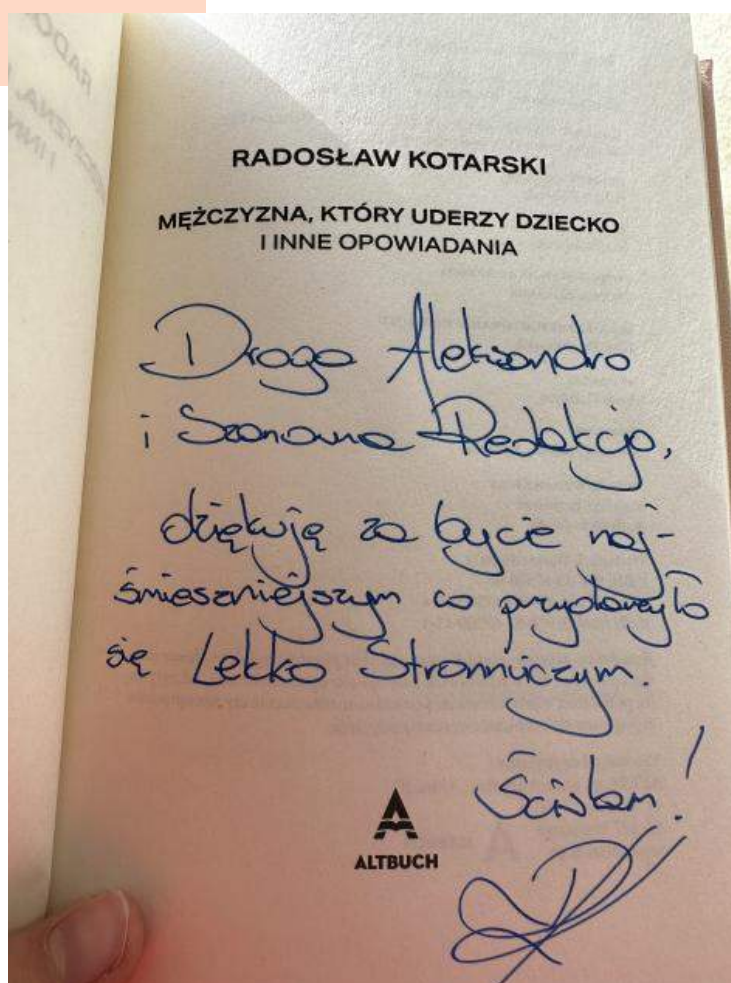
Zacznę od okładki. Szczerze mówiąc, gdy pierwszy raz ją zobaczyłam, to nie za bardzo wiedziałam, co jej autor chce mi przekazać. Jakieś linie, połączenia, a w wyniku tego powstaje twarz. Zapewne miał być to mężczyzna, na co wskazuje sam tytuł. Postanowiłam po prostu zostawić tę kwestię i wrócić do tego, gdy skończę lekturę. Po przeczytaniu mogę stwierdzić, że widzę w niej logikę. I teraz już rozumiem, dlaczego wygląda tak, a nie inaczej. Moim zdaniem każda z tych linii to historia. Historia pewnego człowieka, która zaczyna się dla wszystkich w tym samym momencie – w chwili urodzenia. Z tego też powodu początek jest jeden. Jednak z upływem lat linie te idą w różnych kierunkach. Czasami się przecinają, tworzą wspólne połączenia, które również znajdziemy na kartach tej książki. Czasami jednak zostajemy osamotnieni na swojej trasie. I linia wraca, a nasze życie się kończy. Nie wiem, czy autor okładki myślał o tym w trakcie jej tworzenia, czy sama sobie to wymyśliłam, żeby okładka miała dla mnie głębszy sens. Mnie osobiście takie wyjaśnienie przekonuje.

Do autora książki mam pewne pytanie. Z uwagi na to, że jesteśmy w Internecie, pozwolę sobie na sformułowanie go w następujący sposób: Radku, dlaczego tak późno wydałeś tę książkę? Poważnie. Czytając ją, nie można powiedzieć, że jesteś fabularnym nowicjuszem na rynku. Gdybym nie wiedziała, kim jesteś, i ją dostała, to pomyślałabym, że wydajesz takie równie często co Remigiusz Mróz. Szczególnie z uwagi na fakt, że jakościowo Twoje opowiadania są na naprawdę wysokim poziomie.

RADOSŁAW KOTARSKI



MĘŻCZYŻNA, KTÓRY UDERZY DZIECKO
I INNE OPOWIADANIA



Przedzierając się przez 15 opowieści różnych bohaterów, zauważyłam, że każda z tych historii jest w jakimś sensie o nas wszystkich. O mnie. O Tobie. O Twojej koleżance, która przez swoje doświadczenia z rodzicami nie chce popełnić tych samych błędów. O Twoim koledze, któremu wali się świat, a towarzyszące emocje przystaniają jego rozsądek i uwalniają z niego instynkty, o których istnieniu nie miał wcześniej pojęcia. O tym klasowym łobuzie, który boi się być oceniany przez innych, a także tego, co o nim pomyślał. O tej cichej koleżance, u której emocje biorą górę i nie umie się powstrzymać, gdy mówi to jedno słowo za dużo, które być może kogoś dotknie (jak śpiewał raper Eldo). I to jedno słowo powoduje rany, które czasami stają się nieodwracalne. Choć często wynika to z jakiegoś naszego strachu czy systemu obronnego, który w danej chwili przeważa. Są tu pewne oczekiwania rodziców, walki ze stereotypami. Opowieść o tym, jak bardzo jesteśmy samotni. Jak wszystko jest zależne od perspektywy, z jakiej patrzymy, bo tu często widzimy ich kilka. Wszystko to sprowadza się do naszych pierwotnych potrzeb, które pracują w bohaterach tej książki.

Były tu historie, które mnie rozbawiły. Zdarzało się jednak, że przy niektórych się wzruszyłam. Jest to konsekwencja tego, że w każdej z nich odnalazłam choć część siebie. I niektóre bardzo mnie dotknęły. Na tyle, że zastanawiałam się, co mogę zabrać od każdego z bohaterów tej książki, by stać się kimś lepszym. Zastanawiałam się również, co w moim życiu powinno raz na zawsze zniknąć, by nie ranić innych.

Z uwagi na to, że zawodowo zajmuję się prawem, miałam problem z opowiadaniem *Protokół przesłuchania podejrzanego*. I nie że było jakieś gorsze. Po prostu nie mogłam się skupić na tym, co autor chce przekazać, bo cały czas miałam w głowie myśl, czy podejrzany mógł dopuścić się tego przestępstwa. Jeśli organy ścigania miałyby na niego jedynie ten protokół i te paczki, to w mojej opinii byłoby bardzo ciężko to udowodnić. Sprawdzałam przepisy i raczej dałoby się tego gagatka uratować. Także w razie problemów - macie mój numer telefonu.

Za jedną rzecz chciałabym szczególnie pochwalić autora książki. Opis bliskości w jednym z opowiadań przypomniał mi piosenkę Andrzeja Zauchy *Czarny Alibaba*. W tej piosence podobnie ukazuje się nam głównego bohatera, któremu sugeruje się, by „zdmuchnął z brody resztkę snu”. Nie wiem, czy R. Kotarski inspirował się w tworzeniu swoich opisów właśnie takimi fragmentami, ale osiągnął w pewnych momentach równie subtelne opisy zdarzeń.

Nie przedłużając, mogę zacytować klasyka: *Radek, TOP*. Osobiście chętnie wrócę do tej książki. Być może będę wtedy na innym etapie swojego życia i zauważę w niej rzeczy, których teraz nie dostrzegam. Życzę Ci jednak, drogi Radku, byś do tego czasu napisał więcej opowieści. Nie napisałam w tej recenzji wszystkich swoich spostrzeżeń, bo wiele z nich byłoby spojlerami i zepsułoby radość czytania tym, którzy mają tę przyjemność jeszcze przed sobą. Mam jednak głęboką nadzieję, że kiedyś uda nam się porozmawiać na jej temat szerzej. Być może nawet w Zielonej Górze.

Aleksandra Narecka

BEZBEK POLECA:

GANG ZIELONEJ RĘKAWICZKI

Trzy złodziejki w średnim wieku ukrywają się w domu opieki. Gdy policja stara się trafić na ich trop, one nie przestają działać. Tyle musisz wiedzieć, jeśli chodzi o fabułę tego serialu. Moim zdaniem brzmi intrygująco, zwłaszcza że kobiety w średnim wieku rzadko mają okazję odgrywać pierwsze skrzypce w jakiejś produkcji. Zwykle stawia się albo na młodość, albo na facetów. Niekoniecznie młodych.

To, co mnie zdziwiło, to to, że ta intryga kryminalna tak naprawdę nie jest w centrum serialu. To znaczy jest ona na pewno ważna na samym początku oraz dzięki niej dochodzi do finału, niemniej podczas oglądania miałem wrażenie, że najważniejszą częścią tego serialu są dwie rzeczy. Po pierwsze ukazanie przyjaźni głównych bohaterek, a po drugie pokazanie losu osób mieszkających w domu opieki i ich samotności. I bardzo chętnie obejrzałbym prequel, który wyjaśniłby, jak bohaterki się poznały.

Serial nie wygląda jak produkcja Netflix, tylko coś, co mogłoby zrobić TVP. I nie jest to zarzut. Mam wrażenie, że twórcy specjalnie chcieli stworzyć coś w takim klimacie. Serial nie jest skomplikowany, momentami trochę bawi, a czasem wzrusza, nie ma niczego, czego byśmy nie znali. Natomiast największym plusem jest gra aktorska Magdaleny Kuty, Małgorzaty Potockiej i Anny Romantowskiej. Kojarzyłem je z innych produkcji i szczerze bardzo się zdziwiłem, że aż tak bardzo dobrze potrafiły wejść w swoje postacie i nadać im charakteru.

Doceniam, że ten serial nie chce być polską wersją czegoś zachodniego, co obecnie (niestety) dzieje się coraz częściej. To produkcja przypominająca starsze, polskie seriale, i grająca tym sentymentem. Przy okazji daje ona głos kobietom w średnim wieku i starszym – grupom, które, w moim ściśle subiektywnym odczuciu, mają tego głosu mało i w życiu codziennym, i tym popkulturowym. Więc jeśli chcesz obejrzyć coś, co z jednej strony trochę Cię otuli w te jesienne wieczory, ale z drugiej wzbudzi lekką zazdrość o przyjaźń w dojrzałym wieku, sięgnij po *Gang Zielonej Rękawiczki*.

Sebastian Czapliński



WASZE FANARTY



IG: @aniaeljasiak



Tmeg

BEZBEKOWY HOROSKOP

niezawodne przepowiednie bezbeckie 30.10–13.11

Baran (21.03–20.04)

Każda minuta stracona na rozważaniu kolejnych dylematów może Cię wiele kosztować. Czas zdecydować o swojej przyszłości.

Byk (21.04–21.05)

Dobry humor nie opuszcza Cię ani na krok (i bardzo dobrze). Ogłaszamy listopad miesiącem żarów, uśmiechu i dobrego słowa. Podtrzymaj swoją passę i tryskaj pozytywną energią.

Bliźnięta (22.05–22.06)

Piękno tkwi w prostocie. Nie szuraj więc pantoflami i nie doszukuj się dziury w całym. Nie ma co na siłę utrudniać sobie życia.

Rak (23.06–22.07)

Odpoczynek jest ważny i potrzebny. Czyżbyś przypadkiem go nie zaniebywał*? Nadrób swoje zaległości. Na zadanie domowe przypomnij sobie, co ostatnio Ci się śniło. Jaki może to mieć wpływ na przyszłość?

Lew (23.07–23.08)

Magiczna kula nie wykazuje żadnych ważnych ani istotnych ruchów w Twojej przyszłości. Czyżbyś był* skazan* na swoją intuicję?

Panna (24.08–23.09)

Zaległości lubią się piętrzyć, a sprawy do zrobienia „na wczoraj” mścić. Koniecznie wyjdź na prostą do końca tego tygodnia, bo w przeciwnym wypadku przygniecie Cię istna lawina.

Waga (24.09–23.10)

Być może czasem tracisz kontrolę, ale nie wszystko musi od Ciebie zależeć. W pewnych wypadkach czasem lepiej zdać się na szczęśliwy los niż zdrożne analizy.

Skorpion (24.10–22.11)

Dobrze zaoszczędzić troszkę pieniędzy na czarną godzinę – już niedługo może nadejść. Nie bój się jednak wydać ich w odpowiednim momencie – wszystko ma swój czas.

Strzelec (23.11–21.12)

Ciągłe podróże mogą być nieco męczące. Postaraj się pomieszkać jakiś czas w domu i rozejrzyj się w najbliższym otoczeniu. Może jest tam coś, czego ciągle nie dostrzegasz?

Koziorożec (22.12–20.01)

Kiedy w końcu weźmiesz się do pracy?! Sielanka się dawno skończyła. Teraz najwyższa pora, by dać z siebie 150% i z dumą patrzeć na efekty. Kiedy zaczynamy?

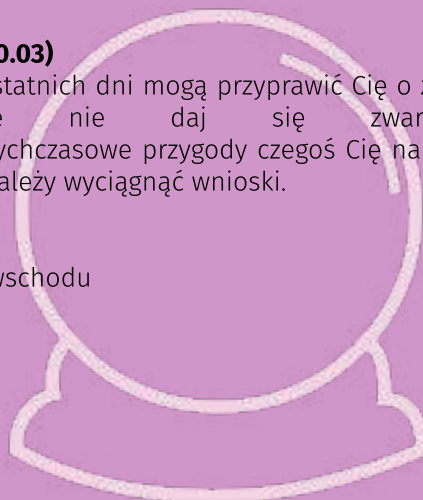
Wodnik (21.01–18.02)

Nie bój się niespodziewanych i nieco szalonych propozycji. Do odważnych świat należy. Jeżeli ciągle się nie zdecydował*ś, to chyba już znasz odpowiedź. Nie ma się co wahać.

Ryby (19.02–20.03)

Wydarzenia ostatnich dni mogą przyprawić Cię o zawrót głowy, ale nie daj się zwariować. Wszystkie dotychczasowe przygody czegoś Cię nauczyły, więc i z tych należy wyciągnąć wnioski.

~ Szeptun ze wschodu

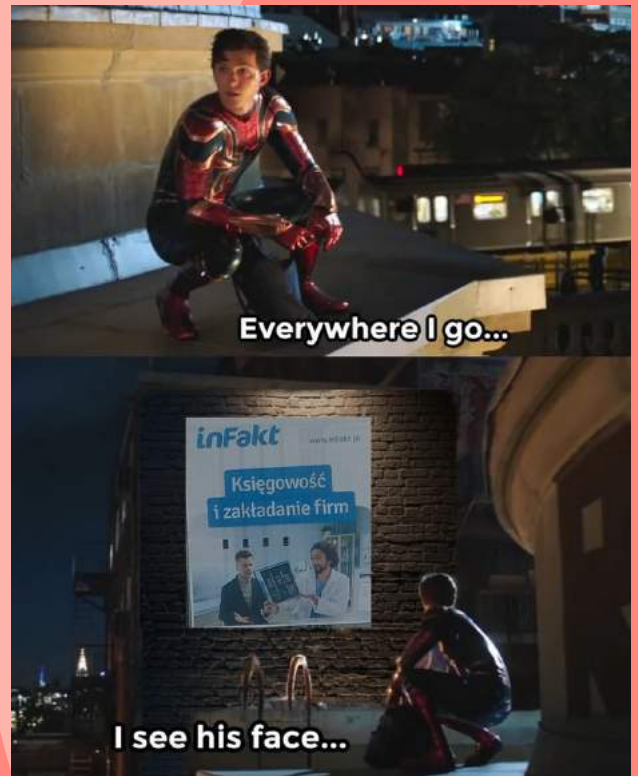


SUBIEKTYWNY TYGODNIOWY RANKING MEMÓW

BY LENA ŚNIADAŁA



AUTOR: Ola Tabisz



AUTOR: Maria Pyszniwska



AUTOR: Maciek Góra

Gdy przedstawiasz rodzicom swojego nowego chłopaka:



AUTOR: Mateusz Matłok

TAK JAK PRZYPUSZCZAŁEM

inFakt



NIEULECZALNA BEZBECJA

AUTOR: Mateusz Matłok



AUTOR: Gosia Parol

BYĆ MOŻE ZA TYDZIEŃ

1. Robimy wywiad z duchem pana Cacao DecoMoreno
2. Najlepsze przeglądarki
3. Jak działa tryb incognito?
4. Jak celebrować picie gorącej czekolady
5. "Proszę, żeby nie stanął" - co myślimy podczas parkowania
6. Po co ci piorunochron, gdy masz dziecko - jak uziemić swoją latorośl?
7. 30 złotych za PolsatBox - zdzierstwo czy fair deal?
8. Czy Magazyn Bezbek powinien przejąć Twittera?
9. Krótko o tym, czemu nie warto robić sobie testów na IQ
10. Ale to jest NUDNE - redakcja ocenia LS#1800,5
11. Czy Włodek nadawałby się do roli Wiedźmina [SONDA]
12. Czy Remigiusz Mróz zaliczył efekt Streisand?
13. Jak się w życiu ustawić
14. Czy studia można opłacać z NFT?
15. Co wy wiecie o sztuce [QUIZ]
16. Zamów sobie u nas życzenia [Przyjmujemy BezbeBoiny!]
17. Czy w Katowicach trzeba już stawiać przejście graniczne?

ZNAJDŹ NAS:

Magazyn Bezbek sp. niejawna
ul. Bezbecji 25/10 lok. 1
38-870 Wieliczka, koło Krakowa
Tel: 0 000 000 000
E-Mail: magazynbezbek@gmail.com
FB: Magazyn Bezbek

WWW.MAGAZYNBEZBEK.PL

AUTORZY NUMERU:

ZAŁOŻYCIELKA: Urszula Skorodziłło

KOREKTA: Lena Śniadała, Sebastian Czapliński

SKŁAD I EDYCJA TEKSTU: Urszula Skorodziłło

GRAFIKA: Anna Jankowiak, Agata Iwanow

AUTORZY: M. Matłok, Adus, Gosia Mierzejewska, Hex Zero Rouge – Maciek, Aleksandra Narecka, Szeptun ze wschodu

OKŁADKA: Maria Pyszniewska



**I co?! Zadowoleni jesteście
z siebie?! Śmiechu warte!**
~ fanfikowy Karol Paciorek